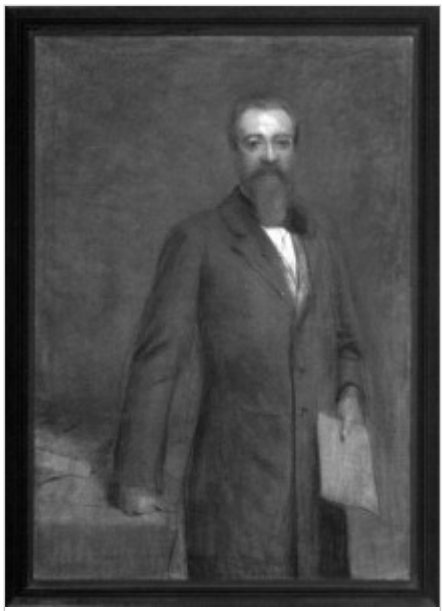
Kościelscy i ich dzieło

Joanna Sokołowska-Gwizdka



Pastel Leona Wyczółkowskiego, „Potret Józefa Koscielskiego”, 1899. Z dawnych zbiorów Koscielskich w Miłosławiu. Źródło: Muzeum Narodowe w Poznaniu.

Zgodnie z testamentem Moniki Kościelskiej, w zmarłej w 1959 roku w Genewie, w tym samym szwajcarskim mieście, w 1961 r. została założona Fundacja im. Kościelskich, Celem jej miało być wspieranie literatury polskiej poprzez przyznawanie nagród młodym twórcom zarówno tym mieszkającym w Polsce, jak i za granicą. Przeznaczając fundusze należące do rodziny na taki cel, Monika Kościelska chciała upamiętnić swoich tragicznie zmarłych najbliższych – męża Władysława Augusta i syna Wojciecha.

Władysław był bibliofilem, miłośnikiem literatury i sztuki, wydawał pismo literackie „Museion”, Był także tłumaczem i autorem dwóch tomików wierszy. Gdy Polska po wielu latach zaborów odzyskała niepodległość, podjął się wydania skarbów literatury i przyczynił się do ich należytego opracowania. W 1920 roku z inicjatywy Władysława Kościelskiego i przy jego nakładach finansowych powstał Instytut Wydawniczy Biblioteka Polska – spółka akcyjna z siedzibą w Warszawie i filią w Bydgoszczy, gdzie została zakupiona drukarnia. Prezesem Rady Nadzorczej został poeta Jan Kasprowicz. Instytut wydawał arcydzieła literatury polskiej (m.in. Żeromskiego, Wyspiańskiego, poetów młodopolskich). Do 1933 roku w serii Wielka Biblioteka przeznaczonej dla szkół, ukazały się 144 tomy tekstów lektur z komentarzami wybitnych krytyków literackich. Przy ulicy Nowy Świat w Warszawie otwarta też została nowoczesna i przyjazna czytelnikom księgarnia. W okresie wielkiego kryzysu, który

dosięgnął i firmę wydawniczą Kościelskiego, Instytut podupadł. Mogło być to przyczyną samobójczej śmierci Władysława w 1933 roku.



Monika Koscielska. Źródło: Izba Pamięci w Miłosławiu (ze zbiorów M. Walczaka).

Po śmierci męża Monika Kościelska kontynuowała jego prace. Pod jej zarządem wychodziły nowe serie wydawnicze – Biblioteka Podróżników Polskich, Biblioteka Podręczna Nauczycieli i

Rodziców „Nowa Szkoła”, Pojawiły się książki o Warszawie, zeszytowe wydanie na temat malarstwa europejskiego, wychodziły encyklopedie, wydawnictwa prawne i polityczne. Instytut Wydawniczy w 1939 roku zatrudniał 600 osób. Jego działalność przerwała wojna.

Wojciech, jedyny syn Moniki i Władysława Kościelskich, niezwykle przeżył śmierć ojca. Odbiło się to na jego późniejszym życiu. Podczas II wojny światowej, mimo danej matce obietnicy, że zgłosi się na studia we Fryburgu w Szwajcarii, postanowił walczyć o Polskę. Zaciągnął się do Polskich Sił Zbrojnych pod dowództwem Francuzów. Przebywał w stalagu, z którego ze względu na stan zdrowia został zwolniony. Potem przez Polskie Dowództwo Naczelne został mianowany adiutantem generała Juliusza Kleeberga. Kiedy Polskie Siły Zbrojne przeszły pod dowództwo brytyjskie, Kościelski sprawował funkcje oficera wywiadu. Po wojnie Wojciech Kościelski próbował przystosować się do nowej rzeczywistości. Pomagała mu w tym żona, Janina Ruszkowska. Jednak przeżycia młodości, okres wojny, utrata majątku rodowego, sytuacja w Polsce, do której nie można było powrócić – to wszystko źle wpływało na jego psychikę i doprowadziło do samobójczej śmierci w 1947 roku.



Monika Koscielska z synem Wojciechem. Źródło: Izba Pamięci w Miłosławiu (ze zbiorów M. Walczaka).

Książka Wojciecha Klasa i Jana Zielińskiego „Kościelscy. Ród, fundacja, nagroda”, została wydana w 2011 roku, z okazji 50-cio lecia istnienia Fundacji. Składa się z dwóch części – w pierwszej opisane zostały losy rodziny, druga część jest kroniką wydarzeń związanych z Nagrodą i jej laureatami. Do tego dochodzą: Aneks,

Spis Członków Rady Fundacji i Jury Nagrody Kościelskich z datami pełnionych funkcji oraz Chronologiczny Spis Laureatów.

Autorem części dotyczącej historii rodu jest Wojciech Klas, absolwent historii o specjalności archiwalnej na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie. Nie tylko napisał on pracę magisterską pod kierunkiem prof. dr hab. Bohdana Ryszewskiego „Kościelscy herbu Ogończyk", ale i zgromadził największy w Polsce zbiór materiałów archiwalno-bibliotecznych dotyczący tej rodziny. Część zbiorów przekazała mu w 2006 roku wdowa po Wojciechu Kościelskim – Jadwiga z Ruszkowskich Kościelska. Przez wiele lat przeprowadzał kwerendy w archiwach i bibliotekach, uporządkował też archiwum Fundacji w Szwajcarii. Nic więc dziwnego, że jako specjalista podjął się rzetelnej charakterystyki rodu od czasów średniowiecznych począwszy.



Władysław August Koscielski. Źródło: Izba Pamięci w Miłosławiu (ze zbiorów M. Walczaka).

Jednym z bardziej barwnych przedstawicieli rodziny był Władysław Kościelski zwanym Seferem paszą, generał w wojsku tureckim, bohater wojen krymskich. Dorobił się fortuny, gdy swoje oszczędności ulokował w akcjach Kanału Sueskiego. Potem stał się słynnym hodowcą koni arabskich i mecenasem sztuki. Kupił średniowieczny zamek Bertholdstein w Styrii, gdzie osiadł na stałe w 1882 roku i przeniósł tam swoją cenną kolekcję obrazów i rzeźb oraz broni orientalnej i ceramiki, W testamencie zapisał zbiory Muzeum na Wawelu, a kilka polskich instytucji naukowych otrzymało od niego pokaźne dotacje. To on zapoczątkował ideę mecenatu kultury.

Część dotycząca dziejów rodziny jest bogato udokumentowana i poparta licznymi cytatami z literatury pamiętnikarskiej epoki, z rękopisów ze zbiorów Biblioteki Czartoryskich w Krakowie i innych materiałów źródłowych. Cytaty naocznych świadków wydarzeń, opisujących postaci, przeplatane komentarzem autora

stanowią ciekawą opowieść i przybliżają czytelnikowi zarówno poszczególnych przedstawicieli rodziny, jak i ogólne idee przyświecające kolejnym spadkobiercom nazwiska – działalność na rzecz społeczeństwa, kultywowanie mecenatu, zainteresowanie literaturą, pielęgnowanie polskich wartości.



Fotografia rodzinna: Józef Teodor Koscielski z żoną Marią z Blochów, matką Józefą z Wodzińskich, ciotką Marią Wodzińską oraz z dziećmi: Katarzyną, Emilią

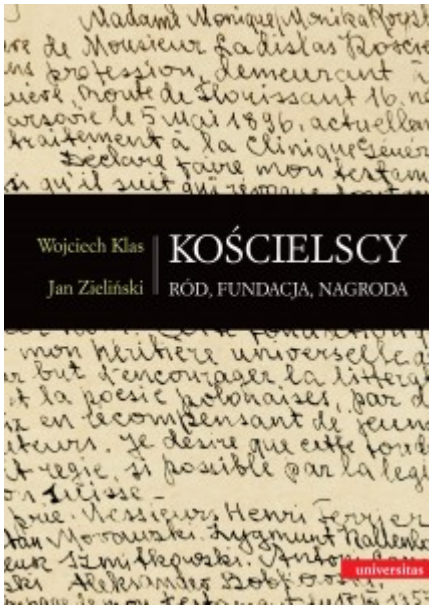
i Władysławem, ok. 1895-1900. Źródło: Archiwum Fundacji.

Autorem części, w której zostali przedstawieni laureaci oraz członkowie jury i inni ludzie związani z Fundacją na przestrzeni 50-ciu lat przyznawania Nagrody, jest Jan Zieliński. Ten krytyk, tłumacz, edytor, znawca literatury polskiej na emigracji, wykładowca na Uniwersytecie we Fryburgu Szwajcarskim, dyplomata, od 2004 roku sam jest członkiem jury Fundacji Kościelskich. Część ta ma charakter chronologiczny, rok po roku zostały pokazane i zdokumentowane wydarzenia związane z zarządem Fundacji, opisem obrad i decyzjami w sprawie poszczególnych laureatów.

…Pierwszym prezezem Fundacji został ambasador Kajetan Dzierżykraj-Morawki – pisze Jan Zieliński. – *Urodzony w roku 1892 w Jurkowie koło Kościana, a więc Wielkopolanin, o 6 lat młodszy od Władysława Augusta Kościelskiego, Morawski był dyplomatą i politykiem, a także ciekawym prozaikiem („Tamten brzeg”). Przed wojną delegat Polski do Ligii Narodów (…). W roku 1941 był ambasadorem RP przy emigracyjnym rządzie. (…) Po cofnięciu uznania Rządowi RP na Uchodźctwie pozostał w*

Paryżu jako nieoficjalny „ambasador wolnych Polaków.

W pierwszych latach działalności Fundacji, w skład Rady wchodzili także Zygmunt Estreicher, Antoni Lanckoroński, Zygmunt Kallenbach, dwaj pisarze z Polski – Jan Parandowski, prezes polskiego PEN-Clubu i Ludwik Hieronim Morstin, który redagował wraz z Władysławem Augustem Kościelskim pismo „Museion". Potem doszli Krzysztof Górski, Konstanty Jeleński, Jacek Woźniakowski, Maria Danilewicz-Zielińska i inni. Wszyscy byli dobrze wykształceni, zaznajomieni z literaturą, o szerokich horyzontach i z głębokim poczuciem patriotyzmu i służby ojczyźnie, niezależnie od warunków politycznych.



Po lekturze Kroniki Nagrody nasuwają się refleksje. Jest to bowiem mini-podręcznik polskiej literatury współczesnej i jej problematyki na przestrzeni pięćdziesięciu lat. Jak niezwykłe wyczucie musieli mieć członkowie jury, aby typować młodych laureatów, którzy w większości przypadków stawali się potem znaczącymi twórcami, zajmując trwałe miejsce w historii literatury lub wybitnymi krytykami tej literatury. Wśród laureatów Nagrody znaleźli się tacy twórcy jak: Sławomir Mrożek, Zygmunt Herbert, Tadeusz Konwicki, Włodzimierz Odojewski, Jarosław Abramow-Neverly, Tadeusz

Nowak, Jarosław Marek Rymkiewicz, Marek Skwarnicki, Urszula Kozioł, Kazimierz Orłoś, Wacław Iwaniuk, Jerzy Harasymowicz, Stanisław Barańczak, Edward Stachura, ks. Janusz Ihnatowicz, Ewa Lipska, Adam Zagajewski, Janusz Anderman, Anna Frajlich-Zając, Tomasz Jastrun, Paweł Huelle, Jerzy Pilch, Wisława Szymborska, Andrzej Stasiuk, Magdalena Tulli, Marcin Świetlicki, Olga Tokarczuk, Jacek Podsiadło, Wojciech Wencel, Tomasz Różycki, Jacek Dehnel i wielu innych. Przecież to pół wieku literatury polskiej. Laureatami zostali pisarze i poeci zarówno mieszkający w kraju, jak i od wielu lat tworzący na emigracji, a przegląd ich dokonań pokazuje nie tylko problemy poruszane w literaturze, ale też wpływ czasów na przekaz artystyczny.

Jan Zieliński, zgodnie z formułą kroniki, skrupulatnie relacjonuje kolejne wydarzenia w kolejnych latach, bogato dokumentując komentarz autorski listami, źródłami, fragmentami publikacji. Pokazuje czym była nagroda, dla twórców w Polsce Ludowej, czym jest dla tworzących obecnie, jakie problemy wynikały podczas głosowania, jakie osoby były typowane i dlaczego, przytacza komentarze. Dzięki tej benedyktyńskiej skrupulatności w odtwarzaniu każdego roku działalności Fundacji, czytelnik ulega atmosferze obrad i duchowi Kościelskich.



Janina z Ruszkowskich Koscielska podczas wręczenia Nagrody Koscielskich w Miłosławiu, 2005 rok. Źródło: Archiwum Wociecha Klasa (fotografia nadesłana przez E. Gajewicz z

Miłosławia).

Widać też wielkie zmiany na przestrzeni lat działalności Fundacji. Przez pierwsze dwadzieścia siedem lat nagroda odbierana była w Genewie. Po 1989 roku uroczystości przeniesiono do Polski. Wręczenie nagród odbywało się w Warszawie, Krakowie oraz Miłosławiu, rodzinnym majątku Kościelskich koło. Poznania. Suma nagrody, nie jest już tak znacząca jak w czasach PRL-u, ale pozostaje wielki prestiż.

Od 2008 roku prezesem Fundacji jest François Rosset. – *Trudno było trafić lepiej* – napisał w swoim pamiętniku Zygmunt Marzys (cyt. za Janem Zielińskim). – *Franek dla polskich przyjaciół, wnuk Zofii Kossak, dziś profesor literatury francuskiej na uniwersytecie w Lozannie, jest doskonałym przykładem podwójnej, szwajcarsko-polskiej przynależności. Urodzony i wychowany w Szwajcarii tu skończył studia, po czym był przez kilka lat lektorem języka francuskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie się doktoryzował u (Jana, aut.) Błońskiego pracą o Janie Potockim (...). W Krakowie też znalazł żonę, w rodzinie, mieszkającej dziś pod Lozanną mówi się po polsku. Sam Franek włada świetnie polskim tak w mowie jak i na piśmie i zna literaturę polską równie dobrze jak francuską.*

Formuła książki jubileuszowej, kronikarskiej i warsztat naukowy autorów spowodował, że pozycja ta nie jest łatwa w odbiorze. Trzeba wejść w środowisko, poznać osoby, przestudiować relacje między ludźmi. Jednak lektura pozostaje na długo w pamięci, czytelnik pozostaje bogatszy o wiedzę i refleksje. Szczególnie dla osób, które kończyły studia w okresie PRL-u, gdy dostęp do wiedzy na temat twórców emigracyjnych był ograniczony, jest to znaczące źródło informacji, dające możliwość uzupełnienia wiedzy na temat współczesnej literatury polskiej.

Książka została opatrzona materiałem ilustracyjnym, przedstawiającym członków rodziny Kościelskich, potem członków Rady Fundacji, pokazującym dokumenty. Ciekawe są też Aneksy, w ramach których dołączone zostały fragmenty prozy Jerzego Pluty („S jak socjalistyczny szpieg, spiskujący samoswojo"), Jerzego Pilcha („Obłoki nad Czantorią") oraz Antoniego Libery („Liryki lozańskie. Wariacje na temat Jerzego Pilcha) – fantastyczna parodia rozdziału „Złe dziecię" z książki Jerzego Pilcha „Spis cudzołożnic. Proza podróżna" Londyn 1993, pokazująca w sposób humorystyczny sytuację Polaka-literata w Szwajcarii w czasach PRL-u.

Wojciech Klas, Jan Zieliński: KOŚCIELSCY. RÓD, FUNDACJA, NAGRODA, wyd. Universitas, Kraków 2011.



Wojciech Kossak u Koscielskich w Miłosławiu.
Źródło: Archiwum Marka Gizmajera z Warszawy.

Między wiernością

a zdradą



Ewa Stachniak

Magda Dunikowska

Jeszcze o „Koniecznych kłamstwach” Ewy Stachniak

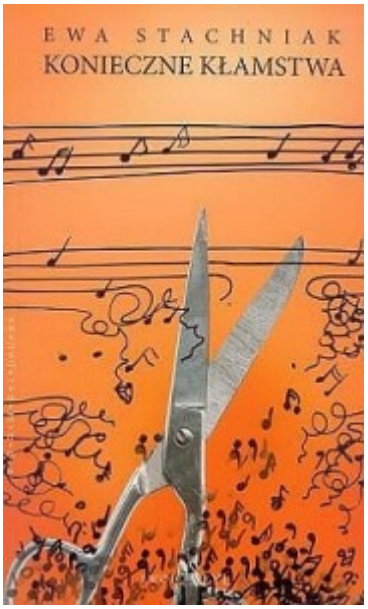
Człowiek składa się marzeń własnych i z historii. Historia zobowiązuje niczym szlachectwo, żąda wierności, stoi na straży. A marzenia dopuszcza w niewielkich ilościach, ot, personel pomocniczy. Nie ma epoki, w której nie znalazłby się jednak śmiałek zdecydowany wystąpić z szeregów wierności, oddalić się na przyzwoitą odległość i podążyć własną drogą. Zwłaszcza w czasach konfrontacji, kiedy nie odnajduje się w tumulcie toczącej się walki, kiedy to czas staje się nagle czarno-biały, kiedy trzeba wybierać między „my" czy „oni" – *„tertium non datur*". Ale czy na prawdę?

Zdrada emigrantów to temat nie nowy. Nowe jest tylko pokolenie, które się właśnie jej dopuszcza i nowa jest jej lektura autorów początku XXI-go wieku. „Optyka Kanadyjczyka" – tak Marta Mizuro odczytała „Konieczne kłamstwa" Ewy Stachniak, tytuł należący do literatury kanadyjskiej, czyli tej *„par excellence"* emigracyjnej. Na jej kartach czytelnik wprowadzony zostaje w nowy krajobraz, nowe widnokręgi poprzecinane stycznymi dobiegłymi nie tylko z narodowych horyzontów. Z jakimi demonami walczą bohaterowie wyzwoleni od ciężaru tradycji? W jakiej mierze podobne wyzwolenie okaże się możliwe? Jaką konfigurację przybiera w literaturze kanadyjskiej kalejdoskop wartości uniwersalnych? Czy globalizacja literatury zdoła dokonać się w sensie pozytywnym? W książce Ewy Stachniak ogniskują się te wszystkie pytania i znajdują odpowiedzi oryginalne, a podane z perspektywy godnej podziwu:

napisane w języku angielskim wprowadzają na scenę trzy pokolenia, trzy kobiety, trzy kraje. I o ile Polaka opuszczającego ojczyznę będzie prześladował problem zdrady kraju, to czy Niemka i jej paroletni synek, uciekając pieszo w mrozie, w styczniu 1945 roku z apokaliptycznego Breslau ową zdradę nie przypisze właśnie swemu krajowi?

Główna bohaterka, Anna znalazła się i odnalazła w Kanadzie, państwie pozornie nieobciążonym historią, w którym marzenia o „normalnym" życiu wydawały się jak najbardziej na miejscu… Jednak tak poszukiwana normalność objawi się w postaci nieprzewidywalnej dla Anny. Zdobyta wolność okaże się bowiem wolnością do konfrontacji z historią własnego miasta. Opowieść w stylu prawie dziennikarskim o Wrocławiu-Breslau, z największym eksodusem współczesnej epoki w tle, nadal właściwie nie znanym, z pewnością będzie odkryciem dla wielu europejskich i kanadyjskich czytelników. Przecież to, co wydarzyło się w tym mieście w latach 1945-47 można śmiało porównać z tragedią antycznej Troi. Najbardziej wówczas zasobne miasto Europy – zgromadzonymi zapasami dla Festung Breslau odżywiali się Wrocławianie jeszcze w 1946 roku – nie tylko legło w gruzach, ten los był przecież udziałem tylu innych podczas tamtej wojny, ale blisko 700 tysięcy jego mieszkańców zostało zeń wyssane wichrem historii, aby już nigdy nie powrócić. Musieli oddać swe piękne miasto przybyszom ze wschodu, tym Polakom, których mimo systematycznych,

przemysłowych starań nie udało się jednak wybić.



Anna rodzi się w parę lat po zakończeniu wojny, z rodziców Warszawiaków, we Wrocławiu ciągle pełnym gruzów. Wspomnienia z dzieciństwa to obrazy placów zabaw nie zupełnie uprzątniętych, z których przynosili niemieckie monety, strzępki mundurów SS, zardzewiałe hełmy. Jej rodzinny dom wrocławski nie kojarzy się z polskimi domami znanymi z literatury: wyposażenie pozostało niemieckie, obrazy, nawet kuchenne porcelanowe pojemniczki z napisem *pfeffer* i *saltz*. Ta obca atmosfera odczuwana jest przede wszystkim przez dziadków i rodziców powtarzających, że mieszkają tu tymczasowo, niewątpliwie przeniknęła też i do psychiki Anny. Nawet po dwudziestu latach korzenie nie wyglądają na zapuszczone. Niemniej polski Wrocław wyrósł na swoiste miasto wolności, właśnie mniejsze obciążenie tradycją narodową ułatwiało zagospodarowanie teraźniejszości. Poharatana wojną pamięć nie ufała już jak dawniej tradycji i miasto udawało, że potrafi stworzyć się samo.

Poryw lodowatego wiatru historii dał się odczuć nagle w marcu 1968 roku. Męski bohater „Koniecznych kłamstw”, Piotr, pierwsza miłość Anny, pojawia się w scenerii Wzgórza Partyzantów, na spiskowym spotkaniu. Parę miesięcy wcześniej

owa piękna przed wojną architektura Wzgórza Liebicha, nigdy później nie poddawana pracom konserwatorskim zawaliła się grzebiąc pod swymi gruzami nowe ofiary. A wydarzyło się to w kulminacyjnym momencie radosnej żakinady, pierwszej po wojnie tak spontanicznej imprezy, kiedy wydawało się, że Wrocław złapał swój własny swobodny oddech… Ale Piotr z „Kłamstw" nie jest bynajmniej tym wzorcowym studentem, którego miesięcznik „Polska" starał się kreować na użytek zagranicznego czytelnika – to Piotr z „Dziadów" Mickiewicza – zwiastun nadchodzącej rewolty. Postać Anny jeszcze wtedy nie odbiega od klasycznej heroiny polskiej: 16-letniego dziewczęcia zauroczonego tajemniczym studentem zapowiadającym czyn zrzucenia jarzma, sowieckiego tym razem. Ówczesne wrocławskie strajki na uczelniach nie prowadzą do tak gwałtownych starć jak w Warszawie czy Krakowie. Pamiętna okupacja Auli Leopoldina mimo symulowanego procesu, nie kończy się pobiciem partyjnych wykładowców, a przybyły do strajkujących rektor Uniwersytetu Wrocławskiego, Alfred Jahn znajduje właściwe słowa i przekonuje studentów do opuszczenia gmachu. Późniejsze aresztowania mają mniejszy zasięg niż w stolicy, to miasto jednak przeszło swój chrzest rewolty i represji, wykuło swych niepokornych, pierwszych opozycjonistów.

Pierwsza miłość Anny, zwieńczona małżeństwem przetrwa cały ten okres wyroku z zawieszeniem, aż do kolejnych rozruchów. Wówczas jednak starcie ułoży się już według innych podziałów. Piotr pozostaje w roli niezłomnego walczącego o wolność, ale dla

Anny obowiązek trwania na posterunku przestaje być jednoznaczny. Studia na filologii angielskiej otworzyły jej nowe perspektywy, obudziły na inne pragnienia. Kanon zrywów patriotycznych zaczyna ją uwierać, widzi w nim błędne koło. Paradoksalnie, pogarszająca się sytuacja polityczna ofiaruje jej szansę wyjazdu na stypendium do Kanady, czyli wyrwanie się z lokalnego marazmu. Podejmują decyzję jeszcze wspólnie z Piotrem, ale Anna sama wylatuje za ocean. Zobaczyć, jak wygląda „normalne" życie.

Jakie postacie potrzebne były autorce, aby problem zdrady tak przesunąć na mapie XXI-go wieku by czytelnik dostrzegł sens w owijającej go szczelnie historii? Obok Polaków musieli pojawić się Niemcy, nie do pominięcia w dziele o rozmachu powojennej epopei. Jej konstrukcja spoczywa na barkach pięciu głównych protagonistów, których charakter wykuła wojna lub jej konsekwencje, a teatrem jest Wrocław-Breslau: tam zaczynają się i tam wiodą główne nici ich losów. Stamtąd wyjeżdża Anna i tam musi wrócić. Na osi łączącej dwa uniwersytety: wrocławski i Mc Gill w Montrealu obróci się świat tych wyrazistych postaci.
Käthe, córka profesora, wchodzi w dorosłe życie na sekundę przed burzą, nie podejrzewając, że piękny spacer i miłosne godziny letnie nad Odrą z zakochanym, pięknym oficerem SS to ostatnie momenty jej cywilizowanego życia. Potem nastąpi już tylko horror i heroiczny wysiłek: zapomnieć i tak wychować dziecko, jakby nikt jej nie zdradził. Wrocław kapituluje 6 maja

1945 roku, kiedy nie jest już miastem – to „pole nieskończonych ruin, cuchnącej spalenizny, odoru i niezliczonej ilości wielkich much". (W. Kania: Pamiętniki z lat 1945-48).

„Non omnis moriar" – zdaje się mówić Ewa Stachniak. Jej silna bohaterka, Käthe, zdoła przenieść kulturę swego uniwersyteckiego domu rodzinnego na syna.

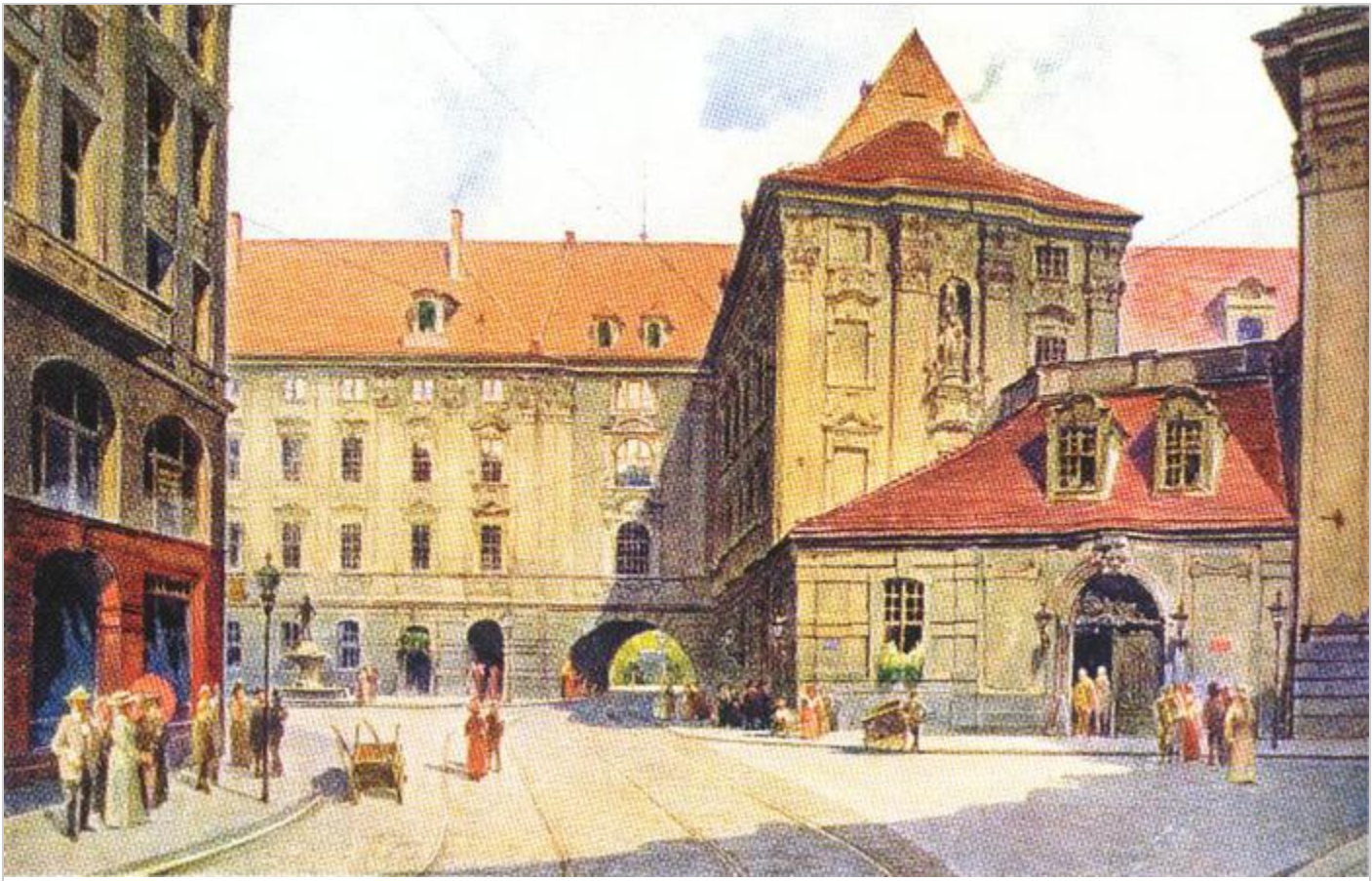
– Willi wyrósł na porządnego człowieka, *„ja"*? – pyta. – Tak – odpowiada miękko Anna – na bardzo porządnego człowieka.

Zwycięstwo nad koszmarem i beznadzieją – to niewątpliwe przesłanie tej powieści. We wrocławskim tyglu dokonuje się zaskakująca metamorfoza tradycji romantycznej. I ten nowy stop dwóch mitów zachowa poświęcenie, ale o jakże innym odcieniu. Lękami wojennej grozy dotknięty jest William, syn Käthe, ów muzykolog z katedry Uniwersytetu McGill, który tak zafascynował Annę i odwiódł od poprzedniej miłości. Polka jednak nie przeżyje jej jako zdrady męża i kraju. „Kiedyś, gdy zakochała się w Williamie, modliła się, by przy nim stać się lepsza, by nauczyć się więcej zrozumieć". Profesor William Hertzmann, przy całym swym talencie muzycznym, nie jest jednak demiurgiem niemieckim, lecz artystą o sercu przeciążonym głuchym pogłosem wojennego dzieciństwa. Ów nowy romantyzm kanadyjsko-wrocławski wieńczy niezwykła sylwetka Ursuli. Innej miłości Williama, fotoreporterki, która

wyłania się niczym Feliks z popiołów dawnych Niemiec. Wypadła z pudła dokumentów pod postacią listów i gwałtownie sparzyła Annę. Zamieniła rozpacz nieutulonej w żalu wdowy na piekący szok. Ursula jest zwornikiem całej powieści, to kobieta teraźniejszości-przyszłości. Dojrzała emocjonalnie, niezależna, wrażliwa, nie ugina się pod ciężarem kostiumu dawnych ról społecznych, ale przede wszystkim jest odważna i gotowa zaakceptować miłość bez wyłączności.

Czym ostatecznie są „Konieczne kłamstwa”? Literaturą rodzących się nowych pokoleń, żyjących w kilku krajach naraz, penetrującą bardziej przenikliwie ów obszar bliższy współczesnej wrażliwości niż klasyczna literatura narodowa? Spojrzenie Ewy Stachniak przekraczając tradycyjne granice nie zwraca się bynajmniej w stronę dawnego kosmopolityzmu czy takiej globalizacji, gdzie kultura owych wysoko wyspecjalizowanych specjalistów wystarczy dla ułożenia akcji czy zamknięcia bohaterów w mrocznych konfliktach ich psychiki. Z kanadyjskiego punktu obserwacyjnego widać najwyraźniej nowe oblicze emigracji: już nie tylko ucieczkę, tymczasową czy trwałą z kraju, który przerażał uciskiem, niewolą, albo jednym i drugim, czy choćby tylko z kraju, który pewnych ambicji nie był w stanie spełnić. Ewa Stachniak jest pierwszą pisarką o wizji, która dostrzega swych bohaterów na jednym, wzajemnie uzupełniającym się planie: Kanady ocieplonej promieniem historii europejskiej.

Książka Ewy Stachniak „Konieczne kłamstwa”, która ukazała się w polskiej wersji językowej w grudniu 2004, nakładem wydawnictwa „Twój Styl” poruszyła swoją problematyką polskojęzycznych czytelników. Wywiad z autorką oraz z tłumaczką powieści Katarzyną Bogucką-Krenz, opublikowany w noworocznym numerze „Listu Oceanicznego” spowodował, że do redakcji zaczęły napływać listy z refleksjami. Wśród nich dostaliśmy tę wnikliwą recenzję, napisaną przez Wrocławiankę, od 1981 roku mieszkającą w Paryżu. „Jestem polską anteną paryskiej EHESS (Ecole des Hautes Etudes en Sciences Sociales) – napisała pani Magda Dunikowska – dla projektu, właśnie zaakceptowanego przez Conseil d’Europe, badającego aktualną tożsamość obecnego pokolenia żyjącego w paru kulturach. Nazywa się on MONDES MULTIPLES et IDENTITES PLURIELLES (światy wielokrotnej i mnogiej tożsamości). Niedawno w Polskiej Ambasadzie w Paryżu przedstawiłam tekst wprowadzający z prośbą o przekazanie go polskim uczelniom i zachęceniem do udziału w projekcie. Rozmawiałam z architektem tego programu na temat Wrocławia widzianego przez pierwsze pokolenie rozpracowujące ową wielokrotną przynależność. Temat ten zainteresował go na tyle, iż zaczął rozważać, aby przyszłoroczne seminarium IDENTITE et UNITE de l’HOMME zorganizować właśnie we Wrocławiu! Najwyraźniej nadszedł czas na budowanie takich grup międzynarodowych, w których Polska nie będzie funkcjonować wyłącznie poprzez pryzmat klasycznego modelu Polonii”.



Wrocław na starej pocztówce

Artykuł ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto w 2005 r.

Konieczne kłamstwa (fragm.)



Montreal

Ewa Stachniak

Przełożył Zbigniew Stachniak

Część I: Montreal 1981

Piotr powiedziałby, że Anna zdradziła Polskę już wtedy.

Nie miałby na myśli tego, że zauroczyła się komfortem Kanady, przepastnymi supermarketami przepełnionymi jedzeniem, błyszczącymi światłami montrealskich biurowców, które z taką dokładnością opisywała mu w swoich listach. Nie chodziłoby mu nawet o to, z jaką łatwością zachwycała się nawet najdrobniejszymi błahostkami. Życzliwym uśmiechem mijanych na ulicy nieznajomych. Samochodami zatrzymującymi się na przejściach dla pieszych. Wypielęgnowanymi trawnikami nawilżanymi szemrzącymi kaskadami wody. Mężczyzną na ulicy Sherbrooke, który pochylił się by sprzątnąć po swoim psie.

Piotr powiedziałby Annie, że symptomy jej zdrady były o wiele bardziej wyraźne i daleko bardziej niepokojące. Powiedziałby, że pozwoliła, by strach zakradł się w jej serce. I miałby rację.

To, że Anna znalazła się w Montrealu było czystym przypadkiem. W Polsce uczyła literatury angielskiej na wrocławskiej anglistyce. Starała się o stypendium do Anglii, chciała studiować literaturę emigracyjną, ale jej podanie ugrzęzło w kolejce. Kanadyjskie stypendium było niespodziewanym darem losu.

—Będzie Pani musiała wyjechać pod koniec

sierpnia—powiedziała sekretarka dziekana, która niespodziewanie zadzwoniła do Anny późnym wieczorem. —Oni zaczynają rok akademicki we wrześniu.

Piotr obserwował Annę siedząc w fotelu, z uniesionymi brwiami. Rozłożyła ręce, w geście pełnym zaskoczenia.

—Ktoś coś pokręcił—usłyszała w słuchawce. —Dostaliśmy pilny telefon z Ambasady kanadyjskiej. Potrzebują kogoś z humanistyki. Na wczoraj. Chce Pani jechać?

—Chcę—powiedziała.

Sześć miesięcy w dobrej bibliotece było kuszące. —Jakiejkolwiek dobrej bibliotece—powiedziała do Piotra, który przyciągnął ją ku sobie. Czuła jego palce drążące tunele w jej gęstych włosach, pieszczące jej szyję, ramiona. Anna w milczeniu rozważała argumenty. Choć miała dwadzieścia osiem lat, nigdy w życiu nie była na Zachodzie. Nawet gdyby udało jej się zaoszczędzić tylko sto dolarów, to i tak byłoby to więcej niż jej całoroczna pensja. No i ta zwykła potrzeba odpoczynku, kilka miesięcy oderwania się od rzeczywistości kolejek, strajków, protestów. A poza tym to tylko pół roku, w lutym przecież będzie z powrotem we Wrocławiu. Zdąży na początek drugiego semestru.

Piotr szeptał jej imię. —Jedź—szeptał. –Jedź. Krawędź fotela

uciskała jej biodro. Dotyk ust Piotra łaskotał, rozśmieszał. Będzie po prostu za nią tęsknił. To wszystko.

—A może pojedziesz ze mną—spytała, wiedząc dobrze, co odpowie. –Teraz? Kiedy wszystko miało się rozstrzygnąć? Gdy los Polski wisi na włosku.

[Strony: 31-33. Anna w Montrealu. Spotkanie z Williamem.]

U wejścia do holu Klubu uniwersyteckiego McGill, wyłożonego drewnianą boazerią, dostała naklejkę z napisem: Anna Nowicka, Polska. Gość Wydziału Anglistyki Uniwersytetu McGill. Uczucie niepewności wyparowało bez śladu. Zdziwiła ją łatwość, z jaką nawiązywano rozmowy. "Pomyślałem, że mógłbym do Pani podejść i przywitać się," wystarczyło w zupełności.

—Niestety, mój mąż nie mógł ze mną przyjechać—odpowiadała na częste zapytanie. Uzyskanie dwóch paszportów byłoby raczej trudne, a, co ważniejsze, Piotr nie mógł tak po prostu wyjechać. Wykładał prawo cywilne na uniwersytecie wrocławskim. Był doradcą prawnym lokalnego oddziału Solidarności. Oczywiście jej wyjazd bez niego nie był najlepszym rozwiązaniem, ale cóż innego pozostawało.

—Dziewczyna z Breslau! —To był głos Williama, głos pełen zachwytu. —Z jakiego miasta Pani przyjechała?—zapytał. —Z

Wrocławia—odpowiedziała, przygotowana na konieczność wyjaśniania przesuniętych granic powojennej Europy, historię ziem utraconych i odzyskanych, historię, w której niemieckie miasto stało się polskim. Ale William nie prosił o wyjaśnienia.

—Dziewczyna z Breslau—powtórzył. —Co za zbieg okoliczności!

—Z W r o c ł a w i a—zaprotestowałaby jej mama, każda sylaba jak rytmiczne uderzenie w bęben. W R O – C Ł A W. Tak by to właśnie powiedziała. WRO – CŁAW, jej twarz zastygła w grymasie nieufności.

William zmrużył oczy z zadowolenia. Uśmiechnął się. Miał na sobie czarny golf, na nim rozpiętą koszulę. Żółte i czerwone plamy kolorów splatały się na niej jak wirujące wstążki zręcznie manipulowane ręką żonglera. Patrząc na jego równo przyciętą brodę myślała o piórach jakiegoś rzadkiego, srebrnego ptaka. William przyniósł jej lampkę wina. Anna czuła jak kształt nóżki kieliszka odciska się na jej palcach.

Wiedziała, że mu się podoba, widziała to w jego niebieskich oczach, w jego uśmiechu, potęgującym się nienasyceniu widokiem jej loków, każdym ruchem jej głowy. Jak gdyby z każdym najprostszym gestem udawało jej się osiągnąć coś naprawdę niezwykłego. Coś wyjątkowego, czego nikt inny, nigdy przedtem, nie osiągnął.

—A więc Pan wie gdzie to jest—zapytała, odgarniając włosy spadające jej na twarz.

Dnie były nadal upalne. Anna miała na sobie luźną sukienkę, którą kupiła w hinduskim sklepie na ulicy St. Laurent. Czarna bawełna, z fioletowymi plamami w kształcie spadających liści.

—Dziwi to Panią?

—Tak.

—Urodziłem się tam—powiedział. —Oczywiście wtedy był to jeszcze Breslau. Tak więc, w rzeczywistości, pochodzimy z tego samego miasta.

Bawiła się koralikami, które wplotła tego dnia we włosy, obracając je w palcach i puszczając. Myślała o swojej starej fotografii: drobna dziewczęca postać, biała sukienka, aureola jasnych włosów.

Na tym starym, czarno-białym zdjęciu trzyma rękę mamy. Za nimi ruiny Wrocławia; zwały gruzu wysypujące się na ulicę. Stosy cegieł, niektóre nadal zespolone zaprawą, strzaskane płyty betonu i granitu. Morze ruin otaczające wysepki stojących jeszcze domów. Powykręcane sterczące pręty w betonowych blokach, w byłych fundamentach. Spękane mury domów z

obnażoną trzcinową siatką, jak z zastygłymi żyłami pod martwą skórą. Wypatroszone domy z wypalonymi ścianami, z wyraźnymi bliznami po nie istniejących już balkonach. Odsłonięte wnętrza byłych pokoi—salonów, sypialni, gabinetów—zdradzały teraz gusty byłych mieszkańców, mozaiki zieleni i błękitu, tapety lub malowane ściany. Ulice poryte wybuchami. Leje po bombach z koronami uwieńczonymi uliczną kostką i spękanymi, granitowymi płytami chodników. Ulice prowadzące do nie istniejących osiedli, gładkie stalowe szyny tramwajowe wiodące w ruiny zarośnięte trawą i chwastami.

—To jeszcze nic takiego—wspominali rodzice Anny. W 1945 roku, tuż po ich przyjeździe do Wrocławia, bali się przechodzić obok opuszczonych domów, obok ruin i popiołu. Miasto było puste, tak przeraźliwie puste, że widok dziecka idącego ulicą napełniał im oczy łzami. Wrocławskie dzieci, pierwsza, niepewna zapowiedź stabilizacji. Kiedy Anna się urodziła, zabytkowe kamieniczki wrocławskiego Rynku były już odbudowane, ich fasady pomalowane na biało, beżowo i jasno-żółto. Kiedy Anna była już na tyle duża, że rodzice mogli ją zabrać na dłuższe spacery wokół gotyckiego Ratusza z jaskrawo pomalowanym zegarem słonecznym lub na Ostrów Tumski wzdłuż katedry z majestatycznymi wieżami, można było niemal uwierzyć, że wojna przeszła gdzieś obok.

. . . .

[Anna zakochuje się w Williamie, z wzajemnością. Postanawia odejść od Piotra, zostać w Kanadzie i rozpocząć nowe życie. Dzwoni do niego na początku grudnia, raniąc go boleśnie. W kilka dni po tej rozmowie, w Polsce wprowadzony jest stan wojenny. Piotr jest internowany. Mimo wahań Anna rozwodzi się z Piotrem i wychodzi za mąż za Williama.]

Część II: Montreal 1991

[Dziesięć lat później. William umiera nagle na zawał serca. Anna idzie do jego biura na montrealskim uniwersytecie McGill, by uporządkować pozostałe po mężu papiery.]

str. 96-104.

W teczce "Osobiste" Anna znajduje grubą, zaklejoną kopertę. Rozrywa ją. Z koperty wysypują się na biurko listy, kartki pocztowe i fotografie. Na tych fotografiach, robionych w krótkich odstępach czasu, wyraz twarzy Williama zmienia się od tego charakterystycznego dla niego zamyślenia do uśmiechu. Ubrany w czarny golf i brązową marynarkę z tweedu, którą Anna tak zawsze lubiła, pochyla się do przodu, jak gdyby starał się przekonać kogoś o czymś niezmiernie ważnym. Na ostatniej fotografii srebrny lok włosów opada mu na czoło, zatrzymana chwila, po której ten lok może jedynie odgarnąć.

Kartka z Baden-Baden—stara, słodka widokówka, wieńce z kwiatów. Z radośnie bijących dzwonów wylewają się nuty. Pismo jest trudne do odczytania, litery wysokie i ściśnięte. Mija kilka chwil zanim Anna wyłowi sens w tych ostrych linijkach pisma, odróżni jedno słowo od drugiego. *L'absence est à l'amour ce qu'est au feu le vent, il éteant le petit il allume le grand*. Podpisane: Urszula.

Otwiera małą niebieską kopertę i wyciąga z niej złożoną kartkę papieru. Jej serce zamiera na moment by ruszyć gwałtownie, tłocząc pospiesznie krew do twarzy. Papier drży w jej rękach.

Kochanie. Tak pusto tu bez ciebie. Echo dzwoni w pokojach, odbija moje kroki, ale Twój głos dociera do mnie zewsząd. Udaję, że wyszedłeś na chwilę i że zaraz wrócisz, jak dobry mąż, który wyjechał w krótką podróż. Czuję się Twoją żoną w najgłębszym znaczeniu tego słowa. Czegoż więcej nam potrzeba? Urszula

Kolejna kartka papieru, złożona we czworo szeleści, gdy ją otwiera. Bez daty.

Przyjechałam późno. Mieszkanie zimne i ciemne, bo przed wyjazdem obniżyłam termostat. Moja pruska oszczędność, skąpstwo mojej duszy. Wczołgałam się do łóżka myśląc o Tobie. Dziś nie chcę z nikim rozmawiać, bo zagłuszyłabym Twój głos. Urs.

Niech więc będzie Londyn. Zjemy kolację w Hotelu Durrants, a potem przejdziemy się George Street i będziemy się całować. Musisz mnie zdobywać. Proszę o wstążkę i grzebień. I zabierz mnie do muzeum figur woskowych, gdzie będziemy śmiać się w nieruchome twarze. Będziemy się kochać i pić okropnie mocną herbatę (oczywiście najpierw wlewając mleko) i będziemy tak brytyjscy jak tylko Niemcy mogą tego pragnąć.

Anna siada, nogi nie są w stanie utrzymać ciężaru jej ciała. Wyczuwa czyjąś obecność, czyjś dotyk na ramieniu. Obraca głowę, ale widzi tylko puste półki, które przed chwilą opróżniła z książek. Nie ma na nich nic poza szarym kurzem. To nieprawda, próbuje przekonać samą siebie. To nie może być prawdą.

—Tylko na kilka dni—pamięta jego słowa. — Muszę być sam. Rozumiesz mnie, kochana? Stała w drzwiach i patrzyła jak pakował brązową skórzaną walizkę. Beżowe sztruksowe spodnie ułożone płasko na dnie, tuż obok starannie zrolowane skarpety. Szetlandzkie swetry złożone w równe kwadraty, puste rękawy wsunięte do środka. Patrzyła, jak zamykał małą saszetkę pachnącą sandałowym drzewem.

—"Bądźcie razem, ale nie zbyt blisko siebie, jak dwie kolumny podtrzymujące kopułę świątyni"—powiedział kiedyś. Sentencja z "Proroka", jeden z prezentów, jakim ją obdarzył, maksymy lat sześćdziesiątych. Nie odwiozła go. William nie znosił

lotniskowych rozstań. Wolał pożegnać się w domu, a ona starała się nie obejmować go zbyt długo, udając zniecierpliwienie, aby ukryć ból. Nie mogła sobie pozwolić na gniew. Na to, by wylał się z niej, wykipiał. —Dzięki Bogu nie jesteś taka jak Marilyn—powiedział jej kiedyś. Zapamiętała każde słowo, którym określał swoją byłą żonę. —Nie ma w Tobie nic z jej mściwości.

Już wtedy myślał o chwili, gdy do niej wróci, wsuwał rękę pod jej sweter, obejmował ją i przyciągał do siebie. —Zadzwonię—szeptał jej do ucha.

Dzwonił. Z Frankfurtu, Berlina, Monachium, jego głos pełen radości i troski o nią. —Tęsknisz za mną, kochana?—pytał. Odpowiadała ze śmiechem, radością. —Rozumiesz mnie, prawda? —Ufała, że rzeczywiście potrzebował kilku dni samotności. Czy naprawdę wierzył, że zaakceptowałaby zdradę? Nie, to niemożliwe. Nie William. To wszystko nie ma żadnego sensu. Nie ma prawa go podejrzewać.

Dziś skończyłam "Twarze kobiet". Wszystkie zdjęcia są czarno białe. Kolor zacierał tylko te śmiertelne transformacje, które chciałam uchwycić. Nie musisz się niepokoić, kochanie, moje obsesje nie są aż tak łatwe do rozszyfrowania. Nazistki są obecne jedynie duszą, w spojrzeniach pełnych poddania, fanatyzmu i samo-zniszczenia. Te twarze są wszędzie. Wystarczyło kilka wieczorów w berlińskich barach. Lothar nic nie powiedział, tylko

objął mnie mocno. To była najlepsza recenzja, jaką dostałam. Po wystawie, idę Ku-damem, wciąż patrząc na twarze. Hałaśliwe Disco wylewa się ze sklepów na ulicę. Młode dziewczyny noszą obcisłe bluzki i dżinsy, balansując na wysokich koturnach. Nastolatki mają donośne głosy i odważne spojrzenia. Ja, jak zwykle w takich momentach, jestem pusta i obolała. Zbyt łatwo zajmuję się głupstwami, poddaję się chwilom bez znaczenia.

Anna zdejmuje okulary i zamyka oczy. Powieki bolą i swędzą, jak gdyby posiekane tysiącem drobnych, niewidocznych spękań. Wie, że ból można tylko przeczekać. Ale palce nadal trą nabrzmiałe powieki, aż do łez, aż na wilgotnych palcach pojawiają się wydarte rzęsy. Kiedy wreszcie otwiera oczy, ściany zatraciły swoją geometrię, stały się widmem kolorów, sufit—białą jednolitą przestrzeń, bez skazy, bez końca.

Kochany! Nie! Żadnych żalów. Żadnych! Budzę się wieczorami i oglądam przez okno światła Berlina, udaję, że jesteś tu ze mną. Chce mi się morza—zimnego, zielonego, pachnącego wodorostami i mokrym drewnem. Pragnę ucieczki od tej ciągłej gorączki. Mówisz mi, że zapominam o rzeczach istotnych, zastępując je ekstazą i rozpaczą. Słucham Cię. Czasami. U.

Twarz Anny jest rozpalona. Przykłada ręce do rozognionych policzków. Coś musi się teraz wydarzyć, jakieś konieczne następstwo tych odkryć, coś, co je wyjaśni i uwolni ją od nich. Na

korytarzu słychać odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, czyjś głos wznoszący się i gwałtownie opadający, uciszony, nagle ucięty. —Tak, tak—słyszy. — Bardzo mi przykro— Anna uświadamia sobie, że Valerie musiała wkładać te listy do skrzynki pocztowej Williama; przez lata musiała obserwować jak wyciągał je z niecierpliwością i spieszył do swojego biura by je tam otworzyć.

Wstaje i robi kilka kroków. To niesprawiedliwe, myśli. Nie teraz. Nie teraz, gdy William nie żyje, gdy nie może nic wyjaśnić. Ponownie siada przy biurku.

Kochanie. Twój głos brzmiał smutno i tak jakoś błagalnie. Przepraszam, że miałam tak mało czasu. Zadzwoniłeś w trakcie sesji. Próbowałam oddzwonić później, ale wyszedłeś już z biura. Nie, nie jest mi wcale łatwiej. To, że akurat ja to powiedziałam wcale nie znaczy, że to jest tylko i wyłącznie moja decyzja. Istnieje historyczny dowód na to, że będąc razem skończylibyśmy rzucając się sobie do gardeł, że spłonęlibyśmy w nienawiści, więc nie próbuj zmienić mojego postanowienia. Być może pojawię się w Montrealu w przyszłym miesiącu, chciałabym sfotografować twarze podczas waszych kanadyjskich narodowych parad, progres quebeckiego Referendum, więc nie dąsaj się na mnie zbyt długo. Powiedz mi raczej, co Twój wspaniały, niewinny kraj zrobi, gdy się zacznie rozpadać na kawałki. "Je me souviens?" Czyż nie te słowa widnieją na tablicach rejestracyjnych Waszych

samochodów?

Referendum w Quebec. To na długo przed jej przyjazdem do Kanady. Oczywiście! Te listy były pisane zanim jeszcze poznała Williama. Okruchy czasu, do których Anna nie ma żadnych praw. William miał kochankę, wnioskuje Anna, kiedy był jeszcze żonaty z Marilyn. Nie powiedział jej o tym. Nie chciał, by myślała, że jest zdolny do zdrady. To przemilczenie jest bolesne, ale w gruncie rzeczy zupełnie zrozumiałe, można nawet pomyśleć, że jest pewną formą dyskrecji. Ona też nie opowiadała mu aż tak dużo o Piotrze.

Październik, 1979. Czerń jest jak trucizna, wysysa kolor, a ja poddaję się jej powoli. Najpierw odpływa nadzieja, potem opuszcza mnie energia. Siedzę i patrzę na ściany pokoju, czekając aż ten stan mnie opuści. Czekam aż dzięki boskiej pomocy nastanie nowy początek, któremu się poddam, aby powstać i zacząć od nowa.

Do niektórych listów doklejone są artykuły wycięte z magazynów. Złożone, pożółkłe na brzegach. Po niemiecku, po angielsku. Anna odkłada je na bok, z niecierpliwością. Będzie dosyć czasu, by je przeczytać. Teraz potrzebuje potwierdzenia.

Styczeń 1980. Nie, nie było tak źle. Mała potyczka między twórczością a zwątpieniem. Nie masz powodu do obaw.

Zanurzam się w takie dnie bez oporów i wynurzam się silniejsza. Niebo ma kolor szafiru, a wiatr wciska się w pory skóry. Wślizgnęłam się do tego małego kościołka, tuż za rogiem. Futra pachniały kamforą, słuchałam pastora, który miał złoty ząb i z lekka seplenił. “Jak było na początku, teraz i zawsze, i na wieki wieków.” Niewiele nadziei na zmiany, nicht wahr? Dziś obudziłam się pełna postanowień. Jak więźniowi, wystarczy mi łyżeczka do herbaty do kopania tunelu. Jak się uda, pozbędę się wykopanej ziemi, piasku i kamieni.

Marzec 1980. Przeszłam dziś wzdłuż Muru. Po wschodniej stronie drzwi i okna mieszkań wychodzących na Zachód są zaślepione. Berlin to przecież podzielone miasto; a nasze niemieckie metafory są solidne, z uzbrojonego betonu. Strażnicy po wschodniej stronie gotowi są strzelać i zabijać. Odważni nadal kopią tunele, uciekają kulom. Ci, którym uda się dotrzeć na naszą stronę, a czasami widzę ich w naszych barach, zapijają się do nieprzytomności, rzucają oskarżenia prosto w nasze twarze. Dla nich jesteśmy zimni, niewrażliwi, i naiwni. I nic nie rozumiemy.

Anna sprawdza pieczątki pocztowe, wiele listów nie ma daty. Przypomina sobie, że William trzymał szkło powiększające w jednej z szuflad biurka. Jest tam jeszcze, w czarnym skórzanym futerale. Przypatruje się uważnie zamazanym cyfrom. 1980, 1977. Luki w korespondencji, ale to tylko złudzenie, bo brakujące

listy się odnajdują, przemieszczone jedynie, niezauważone. William znał Urszulę od wielu lat.

—Fotograf z Berlina, znajoma—powiedział kiedyś. Przez całe miesiące "fotograf" nie miał imienia, a Anna nie zapytała.

Podczas innej rozmowy padło imię, Urszula. Wspomniał je któryś ze znajomych Williama. Chyba Malkolm. Zapytał o przyjaciółkę—fotografa z Berlina. –Masz na myśli Urszulę? —zapytał William. —Kogo? —powiedziała Anna, a on powtórzył—Urszulę, no przecież wiesz, ta znajoma z Berlina, o której ci wspominałem.

W jego głosie wyczuła lekkie drżenie. Znak, że dźwięk jej imienia sprawiał mu przyjemność.

—Zupełnie zwariowana—dodał. —Nie potrafi się oszczędzać.

Wiele z tych listów pisanych jest ręcznie. Anna rozszyfrowuje je powoli, porównując kształty liter, zgadując słowa. *Życie jest zbyt krótkie by trawić je na małostki* – czyta. *Kocham Cię naprawdę, mimo że jesteś taki niecierpliwy*. – Czyta teraz pobieżnie, szukając zmiany tonu, oznak gasnącej miłości zamieniającej się w przyjaźń.

Wrzesień 1981. William, co się dzieje z naszą miłością? Osłabia

mnie, ulizuje. Snuję się dniami z uśmieszkiem samozadowolenia i wszędzie widzę Twoją twarz. Łapię się na tym, że powtarzam Twoje słowa. Podśpiewuję, podskakuję z radości. Nie wpadaj zaraz w samouwielbienie. To widok raczej żałosny. Właśnie dlatego proszę Cię, byś nie przyjeżdżał. Nie gniewaj się. Nie stracisz mnie nigdy. Po prostu pozwól mi pooddychać przez chwilę, a będę Cię za to kochać jeszcze bardziej.

Październik 1981. To nasze dusze, kochany. Nie mogą zapomnieć tych innych możliwych żywotów, których mogłyby doświadczyć. Przeraża mnie jak wiele musimy odrzucić, aby dokonać wyboru.

Październik 1981, Polka i emigrantka, William? Czyżby jeszcze jeden z Twoich gestów zadośćuczynienia?

Ból wargi. Dopiero po chwili Anna uświadamia sobie, że to jej zęby wbiły się głęboko w wargę, przecinając skórę. Na palcach, którymi przed chwilą dotknęła ust ślady krwi. Przez dłuższą chwilę patrzy na poplamione palce, zanim je wytrze. Tłumaczenia nie mają już sensu. —Idiotka—mówi na głos. —Skończona idiotka!

Słyszy głos matki. —Czego oczekiwałaś? Od Niemca?

Każda data na liście jest jak smagnięcie biczem. —Do samego końca—Anna powtarza, z niedowierzaniem. —Do samego końca.

Maj 1987. Nigdy nie obiecywałam, że będę wierna, i nigdy nie dopraszałam się o Twoją niepodzielną uwagę. Wiem dobrze, że nigdy nie przyznasz się do zazdrości. Jak zwykle będziesz się dąsał i będziesz starał się mnie ukarać tymi swoimi śmiesznymi gierkami. Och, jak mogę sobie pozwolić na taką bezpośredniość. Przepraszam! Biedny mały Willi. Czyżbym raniła Twoją wrażliwość? Nie wierzę w sekrety i nigdy nie ukrywałam Twojego istnienia przed nikim w moim życiu. To Ty udajesz, że przeszłość można oddzielić od przyszłości, a ja Ci na to pozwalam. Daj mi więc spokój i oszczędź mi tych swoich kazań.

Marzec 1989. Nie gniewaj się. Obudziłam się dziś w tragicznym nastroju, pełna rozpaczy. Popatrzyłam na moje ostatnie zdjęcia. Są do niczego. Fałszywe, wymuszone. Zbyt naiwne, zbyt czyste. Okropność! Dobra fotografia jest jak przepowiednia, czyż nie tak? Powinna uchwycić coś z przyszłości, więc trzeba się spieszyć, bo czas zbyt łatwo zamienia takie przepowiednie w banał. Więc spieszę się jak głupia, gonię za każdą intuicją.

Styczeń 1990. Kiedy wracałam do Berlina, widziałam wschód słońca. Rozciągał się po niebie, różowy i czerwony i złoty. "Wstążka po wstążce." Pamiętasz kochany? Może masz rację, może nie jestem aż taka silna jak mi się wydaje. Zadzwoniłam do Lothara. Przyszedł i pozwolił mi mówić o Tobie, bez końca. Zrobił mi herbatę i skończyliśmy tę butelkę brandy, którą zostawiłeś. Nie byłam w stanie wypić jej sama.

Listopad 1990. Więc to już za tydzień. W Monachium. Na mojej mapie świata zaznaczam czerwoną flagą wszystkie te miasta, w których spotykaliśmy się. Zaułki miłości. Mapa jest całkiem czerwona. Trzy noce i trzy dni. Nie mogę się doczekać.

Anna otwiera koperty, białe, niebieskie, różowe. W niektórych znajduje zasuszone kwiaty, które kruszą się pod jej palcami. Są też kawałki płótna, drobne drzazgi poszarzałego drewna. Po krótkich notkach następują długie listy, wycinki z gazet, całe strony z zakreślonymi przez Urszulę miejscami, upstrzone wykrzyknikami. Większość listów nadanych w Niemczech. *Mit Luftpost*, informują niebieskie naklejki, przez *Deutsche Bundespost*, ale są też listy pisane na szaroniebieskiej papeterii Hotelu Intercontinental w Genewie, z jej dwujęzycznym ostrzeżeniem: *L'expéditeur de cette lettre n'engage pas la responsabilité de l'hôtel*. Hotel nie bierze odpowiedzialności za treść listu. Anna nie zważa już na chronologię listów, wybiera je losowo, małe skrawki miłości, którą William tak dobrze przed nią ukrywał.

Mama przyjechała na kilka dni i oświadczyła, że muszę jej pozwolić wyremontować moją łazienkę. Kurki ciekły a ona westchnęła w ten swój śmieszny sposób. —Moja kochana córeczka! Niepraktyczna, nieodpowiedzialna, podstrzelona. Pije i pali bez umiaru. Kocha bez umiaru. Nie oszczędza się. Za dużo oddaje innym.

Powiedziałam, że może zrobić, co zechce z tą moją łazienką — co za błąd! Pojechałam na kilka dni do Paryża, a po powrocie zastałam ten różowiutki cud. Umywalka i wanna są w kształcie odwróconych muszli. Jedna ściana to olbrzymie lustro, druga pokryta różowymi kafelkami — na co szesnastym, białe muszelki. Policzyłam, więc wiem. Podłoga jest biała, beznadziejny pomysł, bo widać na niej każdy włos. Kupiła mi też całą stertę różowych i białych ręczników, grubych i miękkich. Tylko kurki są ciekawe. Styl Bauhaus, mosiądz, miłe w dotyku. Spodobają Ci się. Mama odjechała bardzo z siebie zadowolona, a ja, w grzesznym upojeniu, nalałam tych jej truskawkowych, kąpielowych płynów do wanny-muszli i moczyłam się tak długo, aż opuszki palców przypominały suszone śliwki. Próbowałam do Ciebie zadzwonić, ale już poszedłeś do domu, więc zamiast rozmowy marzyłam o Tobie.

Kochany! Nasza miłość jest tylko dlatego taka silna, że jesteśmy daleko od siebie i że zachowujemy dla siebie tylko to, co jest w nas najlepsze. Spotykamy się pełni tęsknoty, rozstajemy się zanim się nasycimy, zanim dopadnie nas zniecierpliwienie. Kiedy wracam do domu, dziękuję bogom za ciebie i wstrzymuję oddech, aby niczego nie zepsuć. A Ty? Ty starasz się wyobrazić sobie, do jakich granic moglibyśmy dojść, czym mogłoby być nasze wspólne życie. Ja nie jestem taka odważna. Urs.

Anna zrywa się tak gwałtownie, że przewraca dębowe

krzesło. Valerie, sekretarka Williama, musiała usłyszeć hałas za ścianą, bo puka do drzwi. —Wszystko w porządku? —pyta, jej głos pełny zaniepokojenia.

—Tak, wszystko w porządku—odpowiada Anna. —To tylko krzesło. Ja… przewróciło się na podłogę.

Otwiera drzwi i nawet udaje jej się wywołać lekki uśmiech na twarzy. —Nic takiego, powtarza, to tylko krzesło.

—Jestem tuż obok, gdyby mnie pani potrzebowała, Pani Anno. Valerie uśmiecha się i Anna wie, że ją uspokoiła.

—Bardzo dziękuję. — Zamyka drzwi i czeka, aż kroki Valerie oddalą się. Czas ucieka, a tyle jest do zrobienia. Najważniejsze, to wrócić do domu. Tu, na wydziale Williama, jest zbyt wiele osób. Valerie, koledzy. Biuro Malkolma jest tuż obok. Gdyby zaczęła krzyczeć, natychmiast by przybiegł.

Na podłodze leżą przygotowane pudła. WYRZUCIĆ pisze pośpiesznie na kartonowych pudłach czarnym mazakiem pozostawiającym po sobie ostry odór rozpuszczalnika. Opróżnia do pudeł zawartość szuflad, wsypując wszystko, co w nich znajduje. Spinacze do papieru, długopisy i ołówki uderzają o kartonowe ściany. Pineski, nożyczki, zwoje taśmy klejącej. Otwiera kolejne szuflady wypełnione papierami. Opróżnia je do

przygotowanych pudeł, garść po garści.

Wkrótce na biurku Williama pozostają tylko dwie fotografie i listy Urszuli. Anna wkłada listy i zdjęcie Julii do koperty i wpycha ją do torebki. Jej własna podobizna na drugiej fotografii denerwuje ją fałszywym wyrazem samozadowolenia, naiwną pewnością siebie.

Pamięta jak kochali się tu, w tym pokoju. Tuż za drzwiami. Kilka tygodni po ślubie, po wycieczce na Barbados, gdzie po raz pierwszy w życiu widziała palmy, gdzie po raz pierwszy kosztowała wilgotne, mięsiste kęsy papai. Wbiegła do tego biura by się z nim zobaczyć, z zaróżowioną twarzą, głosem pełnym podekscytowania.—Kochany, chcę Ci coś pokazać—powiedziała. Już nawet nie pamięta, co to było. Pamięta tylko, jakże teraz boleśnie, że wstał i zamknął za nią drzwi. Na klucz. —A ja chcę Ciebie—powiedział. Przyciągnął ją ku sobie, jego ręka wędrowała po jej plecach. Przycisnął ją mocno do drzwi i pocałował. Przez chwilę, zanim zamknęła oczy, spojrzała na siebie samą na tej właśnie fotografii, przyglądającą się im w tym właśnie momencie, pewną siebie, szczęśliwą. Czy w tamtej chwili William także myślał o Urszuli?



Ratusz we Wrocławiu, ruiny.

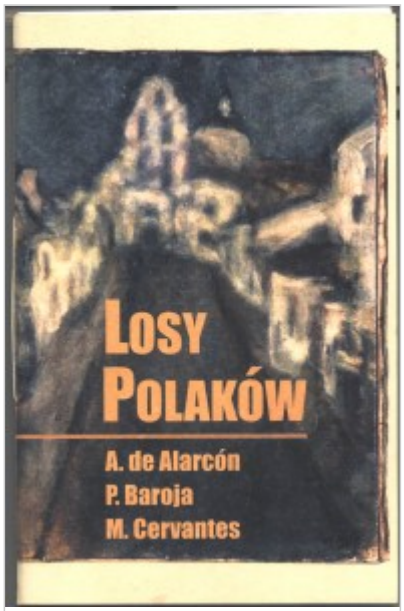
Tekst ukazał się w „Liście oceanicznym” – dodatku kulturalnym „Gazety” w Toronto w 2003 r.

„Konieczne kłamstwa” w polskiej wersji językowej ukazały się w wydawnictwie Twój Styl w 2004 r.

Opowiadanie Polaka

Miguel Cervantes

tłum. Florian Śmieja



na okładce wykorzystano obraz Wilka Markiewicza.

Pątnicy dostrzegli wówczas opodal na gościńcu zbliżającego się jeźdźca. Kiedy się z nimi zrównał, zdjął kapelusz na powitanie,

lecz w tym samym momencie jego konisko potknąwszy się, jak się później okazało, na wyboju, runęło ze swoim panem na ziemię.

Wszyscy natychmiast rzucili się podróżnemu z pomocą, sądząc, że się dotkliwie potłukł. Chłopak Antonio złapał konia (był to wielki ogier) za uzdę, a jego panu pomagano wstać i dano lekarstwo w podobnych wypadkach stosowane: łyk wody. Stwierdziwszy, że nie odniósł żadnego szwanku, jak się obawiali, powiedzieli mu, że może z powrotem dosiąść wierzchowca i jechać dalej. On jednak odparł:

Waszmościowie, może to zrządzeniem losu spadłem w tym miejscu na ziemię, abym mógł powstać z niebezpieczeństw, w które wyobraźnia uwikłała mojego ducha. Chociaż o to nie pytaliście, pragnę wam oznajmić, że jestem cudzoziemcem i polskiej nacji. Swój kraj opuściłem będąc jeszcze chłopcem i przyjechałem do Hiszpanii, do tej Mekki cudzoziemców i wspólnej matki narodów. Służyłem Hiszpanom, opanowałem język do tego stopnia, jak mnie słyszycie. Gnany powszechnym pragnieniem ujrzenia obcych krajów, pojechałem do Portugalii zobaczyć wielkie miasto Lizbonę. W sam wieczór mojego przyjazdu do tego miasta wydarzył mi się niezwykły wypadek, w który możecie wierzyć lub nie, prawda znajdzie ostoję chociażby tylko w sobie samej.

Zaimprowizowana lecz doskonała przemowa niefortunnego jeźdźca zdziwiła Periandra, Huristelę i pozostałych towarzyszy. Pragnąc więc go wysłuchać, prosił go Periander, aby ciągnął dalej swoją opowieść, gdyż wszyscy mu wierzyli, zarówno powodowani kurtuazją, jak własną znajomością świata.

Pokrzepiony tym na duchu podróżnik mówił dalej:

– Pierwszego wieczoru w Lizbonie szedłem jedną z głównych ulic zwanych tam 'rua', szukając gospody, bo nie podobała mi się ta, w której stanąłem. W pewnej chwili, kiedy przechodziłem przez wąskie i brudne przejście, jakiś zamaskowany Portugalczyk trącił mnie z taką mocą, że upadłem. Krzywda, jaką mi wyrządził, obudziła we mnie tak szalony gniew, że pomstę powierzyłem szpadzie. Dobyłem jej, a Portugalczyk nie pozostał dłużny, broniąc się dzielnie i zręcznie. Czarna noc i czarniejszy jeszcze los sprzyjając mi sprawiły, że os-trze mojej szpady raziło go w twarz, tak że się odwrócił i runął na ziemię, a dusza uleciała Bóg tylko wie dokąd. Natychmiast strach przywiódł mi mój czyn przed oczy, przeląkłem się i szukałem w ucieczce ratunku. Chciałem zbiec, lecz nie wiedziałem dokąd? Odgłos ludzi, który zdawał się iść za mną, dodał nogom moim skrzydeł, więc nerwowymi susami przemierzyłem ulicę szukając, gdzie by się ukryć lub znaleźć miejsce na otarcie szpady, aby, gdy mnie zatrzyma straż, nie było wyraźnych śladów zbrodni. Nieprzytomny już od strachu ujrzałem światło w okazałej

kamienicy i wpadłem do wnętrza sam nie wiedząc, po co. Żnalazłem się w otwartej, pięknie umeblowanej sali. Wszedłem następnie do równie eleganckiego pokoju i wiedziony przez światło płonące w dalszym pomieszczeniu, zobaczyłem w wytwornym łożu damę, która przerażona usiadła pytając kim jestem, czego szukam, dokąd idę i kto mi zezwolił zapuścić się tak daleko bez żadnego respektu?

Odparłem:

– Pani, nie mogę ci odpowiedzieć na tyle pytań, mogę jedynie objaśnić, że jestem cudzoziemcem, który, zdaje się, zabił człowieka na tej ulicy bardziej z powodu nieszczęścia i jego lekkomyślności, niż z własnej winy. Błagam cię na Boga i godność twoją, obroń mnie przed ręką sprawiedliwości, bo sądzę, że jestem ścigany.

– Jesteś Hiszpanem? – spytała po portugalsku.

– Nie, pani – odpowiedziałem jestem cudzoziemcem. Mieszkam daleko od tej ziemi.

– Nawet, gdybyś był waćpan Hiszpanem, obroniłabym ciebie, gdy-by to było w mojej mocy. Obronię cię, jeżeli potrafię. Przejdź przez łóżko i schowaj się za arras w niszy, którą tam znajdziesz. Tylko nie ruszaj się, bo gdy przyjdzie straż, uszanuje mnie i

uwierzy w to, co jej zechcę powiedzieć.

Uczyniłem natychmiast, co mi przykazała. Uniosłem arras, znalazłem wgłębienie i wcisnąłem się w nie. Wstrzymałem oddech i zacząłem polecać się opiece Boskiej, jak tylko umiałem. Kiedy pogrążyłem się w tym nastroju, do alkowy wpadł służący wołając:

– Pani, don Duarte, pan mój, zabity. Niosą go tutaj zgasłego odepchnięcia szpadą na wylot przez prawe oko. Nie wiadomo, kim jest zabójca i co było przyczyną starcia, bo nawet szczęku broni nie było słychać. Jedynie chłopak jakiś widział, jak uciekający mężczyzna wbiegł do tego domu.

– To on bez wątpienia jest jego zabójcą – odpowiedziała pani – i nie ucieknie. Ach, ile razy obawiałam nieboga, że zobaczę, jak wnoszą syna bez życia, bo jego butne poczynania nie wróżyły nic innego, jak nieszczęście!

Czterech mężczyzn wniosło na barkach zmarłego i położyło go na ziemi na oczach bolejącej matki, która zaczęła lamentować.

– Ach, zemsto, jak dobijasz się do drzwi mojej duszy! Ale nie stanie się podług twojej woli, bo muszę dotrzymać słowa, choć boleść tak mnie ponosi!

– Wyobraźcie sobie państwo, co czułem, słysząc żałościwe słowa matki, której – tak mi się zdawało – obecność zabitego syna podsuwała tysiące rodzajów zadania mi śmierci, by się zemścić, bo było jasne, że musiała mnie uważać za zabójcę syna. Ale cóż innego mogłem zrobić, niż tylko milczeć i czekać w desperacji. Do pokoju wszedł strażnik, który z uszanowaniem zwrócił sią do pani;

– Kierowani wyznaniem pewnego chłopca, który twierdzi, że do tego domu uciekł zabójca panicza, odważyliśmy się wejść.

Nastawiłem ucha i w napięciu oczekiwałem odpowiedzi nieszczęsnej matki, która okazując wspaniałomyślność ducha i chrześcijańską pobożność, odpowiedziała:

– Jeżeli człowiek ów wszedł do tego domu, to w każdym bądź razie nie do tego pokoju. Możecie go szukać, choć będę prosiła Boga, byście go nie znaleźli, bo źle naprawia się śmierć drugą śmiercią, tym bardziej, jeżeli krzywda nie została wyrządzona ze złej woli.

Strażnicy poszli przeszukać dom, a mój duch wrócił do mnie, bo był mnie już odszedł.

Pani poleciła wynieść ciało syna i przygotować je do pochówku. Nakazała również, by ją zostawiono samą, bo nie czuła się na

siłach przyjmować kondolencje i pocieszenia licznych krewnych, przyjaciół i znajomych. Potem zawołała jedną ze swoich panien, widocznie najzaufańszą, i powiedziawszy jej coś na ucho, kazała jej zamknąć za sobą drzwi. Zrobiła tak. Wówczas pani usiadła na łóżku a dotknąwszy arrasu położyła ręce na moim sercu, którego szybkie bicie zdradzała strach, jaki je ogarniał. Kiedy to poczuła, rzekła łagodnie i smutno:

– Człowieku, ktokolwiek jesteś, wiesz, że zabrałeś mi oddech, światło moich oczu i życie samo, które mnie na tej ziemi trzymało Ale ponieważ rozumiem, że stało się to nie z twojej winy, chcę by moje słowo oparło się zemście i dlatego, aby dotrzymać obietnicy, że cię uwolnię, którą ci dałam, kiedyś tutaj wszedł, musisz zrobić to, co ci teraz każę. Zasłoń sobie twarz rękami, abym, jeżeli przez pomyłkę otworzę oczy, nie mogła ciebie w przyszłości rozpoznać. Wyjdź stąd z moją dziewczyną, która zaraz tu przyjdzie. Ona cię wyprowadzi na ulicę i da ci sto escudów w złocie, aby ułatwić ci ucieczką. Nikt cię nie zna, nikt nie podejrzewa. Weź się w garść, bo niepokój zazwyczaj zdradza sprawcę.

Na to weszła panna. Wyszedłem zza arrasu zakrywszy twarz ręką i na znak wdzięczności na klęczkach pocałowałem łóżko w nogach podążając następnie za dziewczyną, która milcząc ujęła mnie za ramię i przez tajne drzwiczki wyprowadziła na ulicę.

Żnalazłszy się tam, najpierw wytarłem szpadę i spokojnym krokiem skierowałem się na główną ulicę, gdzie rozpoznałem moją gospodę i wszedłem do niej, jakby nic się nie przydarzyło. Właściciel opowiedział mi o śmierci rycerza wyolbrzymiając szlachetność jego rodu a także zarozumiałość charakteru, która miała mu stworzyć tajemniczego wroga i przyspieszyła jego śmierć.

Ową noc spędziłem na modlitwie, Bogu dziękując za odebrane łaski oraz na rozpamiętywaniu bohaterskiego i nigdy przedtem nie spotkanego ducha chrześcijańskiego i wspaniałego czynu pani Guiomar de Sosa, bo tak się nazywała moja dobrodziejka. Rankiem pojechałem nad rzekę i zastałem tam łódź pełną ludzi, którzy udawali się na pokład wielkiego galeonu stojącego w Sangian, a mającego płynąć do Indii Wschodnich. Wróciłem do gospody, sprzedałem wierzchowca właścicielowi i spieniężywszy wszystko, co posiadałem, wróciłem nad rzekę do łodzi. Następnego dnia stałem daleko od portu na pokładzie galeonu, który podał żagle wiatrowi i pruł obraną drogą.

W Indiach spędziłem piętnaście lat, służąc jako żołnierz z dzielnymi Portugalczykami. Spotkało mnie tyle przygód, że można by napisać przyjemną i prawdziwą opowieść, głównie o czynach nie zwyciężonego w tamtych stronach narodu portugalskiego, godnych wieczystej chwały naszych czasów i wieków przyszłych. Tam uzbierałem trochę złota i pereł oraz

rzeczy o większej wartości niż ciężarze i wróciłem z nimi do Lizbony, korzystając z powrotu do niej generała. Stamtąd wybrałem się w drogę do ojczyzny, zdecydowawszy najpierw zwiedzić wszystkie większe i piękniejsze miasta hiszpańskie. Dobytek spieniężyłem i wziąłem przekazy na wydatki potrzebne w podróży, bo najprzód zamierzałem jechać do Madrytu, do którego niedawno sprowadził się dwór wielkiego Filipa III. Ale fortuna moja, znudzona noszeniem łodzi mojego losu po morzu życia ludzkiego przy pomyślnym wietrze, zechciała by łódź ta najechała na mieliznę i doszczętnie się tam rozbiła. Żrządziła więc, że pewnego wieczoru przybyłem do Talawery, miejscowości leżącej niedaleko stąd. Za-trzymałem się w pewnym zajeździe, który nie był mi zajazdem, ale grobem, bo tam pogrzebałem mój honor.

O przemożna mocy miłości, miłości, mówię, nieopatrznej, chciwej i źle zamierzonej, z jaką łatwością depczesz po dobrych zamiarach, czystych intencjach, rozsądnych propozycjach! Kiedy więc stałem w owej gospodzie, weszła do niej dziewczyna mająca lat około szesnastu; tak mnie się przynajmniej wydawało, choć później dowiedziałem się, że liczyła dwadzieścia dwa lata. Miała upięty warkocz, a odziana była schludnie w gorset i spódnicę z samodziału. Kiedy przeszła obok mnie, wydało mi się, że pachnie jak kwitnąca łąka w maju i zapach ten, pobudzający zmysły, przewyższał wonie Arabii. Podeszła do pewnego młodzieńca w zajeździe i mówiąc mu coś do ucha parsknęła śmiechem, po czym

pokazawszy mu plecy wybiegła z zajazdu do domu naprzeciwko. Chłopak pobiegł za nią, a nie mogąc jej doścignąć, kopnął ją tak, że rymnęła jak długa. Widziała to inna dziewczyna z zajazdu i gniewem uniesiona odezwała się do parobka:

— Na Boga, Alonso, źle robisz, bo Luiza nie zasłużyła na to, byś ją kopał.

— Jako żywo, nie będę jej takich kopniaków żałował — odpowiedział Alonso.

— Zamilcz, droga Martino. Takie żywe panienki zasługują na to, by im nie żałować nie tylko ręki ale i nogi.

To powiedziawszy zostawił mnie z Martiną, którą spytałem, kim jest Luiza i czy jest zamężna, czy nie.

— Jest panną — odrzekła Martina — ale wnet będzie żoną tego Alonsa, któregoś waćpan widział, bo rodzice już się porozumieli w sprawie małżeństwa. Alonso waży się kopać ją, jak tylko mu dokuczy, a tylko bardzo rzadko na takie traktowanie sobie nie zasłuży. Bo jeśli mam być szczera, Luiza jest nieco zuchwała, swawolna no i rozpuszczona. Mówiłam już jej dosyć o tym wszystkim, ale bez skutku. Nie zmieni się, choćby jej oczy wykłuli. Bo zaprawdę najlepszym posagiem, jaki kobieta może wnieść, jest skromność. Bóg zapłać mojej matce, która nie

pozwalała mi patrzeć na ulicę nawet przez dziurkę, a co dopiero wychodzić na próg do bramy. Dobrze wiedziała, że, jak zwykła była mówić, kobieta i kura itd. (padają ofiarą wychodzenia z domu, przyp. FS)

— Powiedz mi, pani Martino — odpowiedziałem – jak to się stało, że z surowości owego nowicjatu dostałaś się na szerokie wody zajazdu?

— Dużo by się o tym dało powiedzieć — rzekła Martina, a i ja miałbym więcej o tych sprawach do powiedzenia, gdyby się na to znalazł czas i pozwoliła boleść, którą w duszy noszę.

Z zajęciem słuchali pielgrzymi cudzoziemca i bardzo chcieli dowiedzieć sią, jaką to boleść ów Polak w swoim sercu nosił, gdyż obolałości ciała sami się domyślali. Odezwał się więc Periander:

Opowiedz waćpan, co chcesz i tak obszernie, jak umiesz, bo często szczegóły urozmaicają i upiększają opowiadanie. Toć na uczcie przecież obok pieczonego bażanta stawia się miskę zielonej, świeżej, smacznej sałaty. Sosem każdej opowieści jest szczególny język, w który jest ubrana. Więc ciągnij pan ową historię, opowiedz o Luizie i Alonso, kop Luizę, ile ci się tylko podoba, wydaj ją lub nie wydaj za mąż. Niech będzie swawolna, rozpuszczona jak dziki sokół, bo najważniejszą, rzeczą, podług

mojej astrologii, nie jest jej swawola, ale jej dalsze losy.

– W takim razie – odpowiedział Polak – mogę was zapewnić, że z waszym przyzwoleniem dam pod wasz osąd wszystko, co wiem. Skupiwszy cały rozsądek, jakim rozporządzałem, a musiało go być niewiele, przez całą noc rozważałem wdzięk, urok i swobodę tej, jak mi się wydawało, nie mającej sobie równej, sąsiadki czy znajomej mojej gospodyni. Układałem tysiące planów, zbudowałem tysiące zamków na lodzie, żeniłem miałem dzieci i funta kłaków nie dawałem za to, co o mnie mówiono. W końcu postanowiłem porzucić pierwotny zamiar wyjazdu i pozostać w Talawerze jako mąż bogini Wenus, bo dziewczyna, chociaż bił ją parobek z zajazdu, wydała mi się nie mniej piękna od Wenus. Na tym przeszła noc. Rano zbadałem puls i doszedłem do wniosku, że stracę życie, jeżeli wnet nie poślubię tej chłopki, bo jej oczy zniewoliły mnie zupełnie. Usuwając wszystkie przeszkody, postanowiłem pomówić z jej ojcem i poprosić go o jej rękę. Pokazałem mu perły i pieniądze, chwaliłem swoją przemyślność i gotowość, by bogactwo, nie tylko zachować, ale jeszcze pomnożyć. Te argumenty i widok moich dóbr sprawiły, że stał się miększy od rękawiczki i zgodził się na wszystko, szczególnie kiedy widział, że nie żądam posagu i zadowolę się jedynie urodą córki.

Alonso popadł w rozpacz, a Luiza, moja żona, w gniew, jak to wykazały wypadki, które się wydarzyły dwa tygodnie później,

przynosząc mi ból, a jej niesławę. Mianowicie, żona moja zabrawszy część klejnotów i pieniędzy, za namową i z pomocą Alonsa, uciekła z Talawery, zostawiając mnie, żałującego, na pośmiewisko. Przez długi czas nie mówiono w mieście o niczym innym, jak tylko o jej przewrotności i szelmostwie. Krzywda nakłaniała mnie do zemsty, ale nie było na kim się, mścić, chyba na samym sobie. Nieraz brałem do ręki powróz, żeby się powiesić. Los jednak, może w celu naprawienia szkód mi wyrządzonych, sprawił, że ujęto moich wrogów i osadzono w więzieniu w Madrycie. Powiadomiono mnie, bym przyjechał i postawił ich przed trybunałem. Jadę przeto, by ich oskarżyć i zażądać sprawiedliwości. Jadę zdecydowany, aby krwią zmyć plamy na moim honorze i przez pozbawienie ich życia zrzucić z barków ciężar ich postępku, który mnie przytłacza i niszczy. Muszą umrzeć, jak Bóg na niebie. Na Boga, że muszą się zemścić. Bóg mi świadkiem, że świat cały musi się dowiedzieć, że krzywdy nie darują, a cóż dopiero takiej, która sięga do dna mojej duszy. Jadę do Madrytu. Już się czuję lepiej po upadku i mogę dosiąść konia. Nie przepuszczę nawet komarom! Nie chcę słyszeć ani próśb zakonników, ani płaczu dewotek, ani przyrzeczeń czułych serc, ani darów bogaczy, ani rozkazów wielmożów, ani całego zgiełku, który zwykł w podobnych wypadkach powstawać. Mój honor musi wznieść się nad krzywdą, jak oliwa wypływa na wodę.

To rzekłszy podniósł się szybko i lekko, aby wsiąść na konia i

kontynuować wojaż. Widząc to, Periander ujął go za ramię i zatrzymał mówiąc:

– Waszmość, zaślepiony gniewem, nie umiesz dostrzec, że w ten sposób rozniesiesz i powiększysz swoją niesławę. Dotąd jesteś zniesławiony tylko u tych, którzy cię znają w Talawerze, a tych musi być niewielu, a teraz będziesz znany tym, którzy o tobie usłyszą w Madrycie. Chcesz być tym wieśniakiem, co w zanadrzu hodował żmiją przez całą zimą i za łąską Niebios nie znalazł jej, bo uciekła, kiedy nastało lato, a ona mogła użyć jadu. Wieśniak, nie bacząc na łaskę Niebios, począł szukać tego, czego znalezienie nie wróżyło nic dobrego. Bo głosi przysłowie: 'Uciekającemu nieprzyjacielowi buduj srebrny most', a także: 'Największym nieprzyjacielem mąża jest jego własna żona'. Ale to chyba znajduje usprawiedliwienie u innych wyznań, a nie u chrześcijan; u wyznań, gdzie małżeństwa są pewnego rodzaju układem i ugodą, jak wynajęcie domu czy innej nieruchomości. Wedle wiary katolickiej natomiast małżeństwo jest sakramentem, który jedynie śmierć rozwiązuje lub warunki surowsze od śmierci, zwalniające małżonków od współżycia z sobą, lecz nie rozwiązujące węzła, którym zostali związani. Czyżby waćpan co zyskał, oglądając swych wrogów ujętych przez prawo, związanych i poskromionych na publicznym widowisku dla tłumnej gawiedzi, widząc, jak błyszczące ostrze toporu na szafocie godzi w ich karki? Jakby ich krew potrafiła, jak waćpan mówisz, oczyścić twój honor! Cóż możesz tym zyskać, jak nie

powiększenie niesławy? Bo zemsta karze, ale nie usuwa winy. Krzywdy, które nam wyrządzono, jeśli nie zostały naprawione z dobrej i nieprzymuszonej woli, wciąż trwają i żyją w pamięci ludzkiej, przynajmniej, póki żyje osoba pokrzywdzona. Dlatego wejrzyj waćpan w serce swoje i okazawszy miłosierdzie, nie domagaj siec sprawiedliwości. To nie znaczy, że radzę żonie wybaczyć i przyjąć jag z powrotem do domu, bo nie ma takiego prawa, które by do tego zmuszało. Radzę ją porzucić, co jest najciąższą karą, jaką, ją można ukarać. Żyj z dala od niej, a będziesz żył, co byłoby nieprawdopodobieństwem, gdybyście byli razem, bo ciągle byście umierali. Rzymianie często używali prawa odrzucenia, chociaż godniejszym chrześcijanina miłosierdziem byłoby wybaczyć jej, przyjąć ją, znosić i radzić jej. Trzeba najpierw zmierzyć swoją cierpliwość i poczynać bardzo roztropnie; przymioty to, którym tylko niewielu może zaufać w tym życiu, szczególnie, jeśli są one wystawione na tak ciężka próbę. Wreszcie weź pod uwagę, że popełnisz grzech śmiertelny odbierając im życie, czego czynić nie wolno nawet dla wszelkich korzyści, które światowa sława przynieść może.

Raptus Polak wysłuchał tych rad Periandra z uwagą, a mierząc go od stóp do głów spojrzeniem odpowiedział:

— Waćpan mówiłeś ponad swój wiek. Rozum twój idzie przed latami, a dojrzałość umysłu przed zielonością żywota. Anioł kładł ci w usta słowa, które uśmierzyły moją zawziętość. Nie pragnę

bowiem teraz niczego, jak tylko powrotu do mojej ziemi i złożenia Bogu podziękowania za okazane łaski. Pomóż mi wstać, bo jeżeli gniew mi przywrócił siły, nie wypada, by mnie ich zbawiła rozważna cierpliwość.

— Wszyscy chętnie to uczynimy- odparł Antonio, ojciec.

Pomogli mu wsiąść na konia, on zaś uściskawszy każdego oświadczył, że postanowił wrócić do Talawery, by uregulować sprawy swojego majątku, a potem z Lizbony odpłynąć do ojczyzny. Podał im swoje nazwisko: Ortel Banedre, co po hiszpańsku znaczy Marcin Banedre i polecając się ich pamięci zawrócił w stronę Talawery, zostawiając wszystkich w podziwie dla swoich przygód i umiejętności ich opowiedzenia.



Miguel Cervantes

Opowiadanie pochodzi z książki „Losy Polaków”, trzy opowiadania hiszpańskie w tłumaczeniu Floriana Śmieji, wyd. Silcan House, Mississauga 2003 r., projekt okładki Wilek Markiewiecz.

O emigracji, życiowych wyborach, stosunku do przeszłości i twórczości pisarskiej



Ewa Stachniak, Wrocław

Joanna Sokołowska-Gwizdka – Rozpoczęła Pani swoją twórczość literacką w Kanadzie od małej formy prozatorskiej, od opowiadań publikowanych w różnych, często prestiżowych magazynach literackich. Czy „Spacer nad Credit River" to jakiś szczególny tekst?

Ewa Stachniak – Jest to historia pewnej wizyty. Matka z Polski odwiedza córkę w Kanadzie. Obie kobiety idą na spacer do parku wzdłuż rzeki Credit River w Mississaudze. Podczas spaceru,

rozmawiają. Córka jest w związku z mężczyzną – Kanadyjczykiem amerykańskiego pochodzenia. Po rozmowie z matką, rozmowie trudnej, zahaczającej o bolesne wspomnienia rodzinne, bohaterka opowiadania lepiej rozumie siebie, swojego przyjaciela, matkę. Czy to tekst szczególny? W pewnym sensie tak. Myślę, że takie rozmowy, dwupokoleniowe, prowadzone na emigracji z rodzicami, są niezwykle ważną częścią emigracyjnego doświadczenia.

Publikacja w "Odrze" jest moim polskim debiutem. Aktualnie pracuję nad zbiorem opowiadań. Wszystkie opowiadania mają polski kontekst, ich bohaterowie są w jakimś sensie emigrantami, przechodzą moment głębszego zrozumienia własnej tradycji, a także konfrontacji ze światem innych wartości.

JSG – Pani powieść "Konieczne kłamstwa" wywołała duże zainteresowanie kanadyjskiej krytyki. Ma ona wiele warstw i rozgrywa się na kilku płaszczyznach. Jedna płaszczyzna to niezwykle ważne w historii Polski dziesięciolecie 1981-1991, okres przemian, widziany z daleka oczami osoby, która wyjechała. Pojawia się trudny problem emigracji, adaptacji w innym środowisku kulturowym, nabierania dystansu do przeszłości, przewartościowywaniu. Pani bohaterka, Anna nie jest w powieści oceniana. Ona żyje swoim życiem. „Musiała zdradzić jego lub siebie. Innego wyboru nie miała".

ES – “Konieczne kłamstwa” jest powieścią o emigracji i powrocie, tym pierwszym, po latach, gdy nasz wzrok jest wyostrzony, gdy widzimy więcej i chyba inaczej niż kiedykolwiek indziej, bo te późniejsze powroty są już zwykle tylko rutyną. Nie oceniam Anny. Nie oceniam moich bohaterów, nie mam recepty na życie. Moim zadaniem jest przedstawienie świata tak, jak go w danym momencie doznaję i rozumiem. A ocena tego świata i jego postaci należy do czytelnika. Być może są czytelnicy, którzy potępią Annę choćby za to, że zostawiła swojego pierwszego męża. Inni być może zastanowią się nad jej doświadczeniami, jej stosunkiem do historii, do polsko-niemieckich konfliktów, do nowej niepodległej Polski. Anna jest emigrantką z Polski. Polska ją uformowała, Polska ukształtowała jej poczucie historii. Jej doświadczenia mogą być interesujące nie tylko dla innych emigrantów, ale i dla tych, dla których emigracja nigdy nie była alternatywą.

JSG – Inny plan Pani powieści, równie ważny, to kontekst historyczny. Anna pochodzi z Wrocławia. W Montrealu poznaje Williama, urodzonego w Breslau. Łączy ich teraźniejszość, ale przeszłość również jest pomiędzy nimi nawet, jeśli nie zdają sobie z tego sprawy. Matka mówi, do Anny:

“Czy wiesz, co jego ojciec robił podczas wojny?” Potem okazuje się, kim był ojciec.

ES – Historia ojca Williama ma swoje historyczne źródło. Podczas moich lektur na temat Breslau zainteresowała mnie historia Josefa Wagnera, przedostatniego Gauleitera Breslau. Jego żona była katoliczką. Tuż przed wojną córka Wagnerów zakochała się w Esesmanie, z którym zaszła w ciążę. Jej ukochany zjawił się na przyjęciu u państwa Wagnerów i publicznie poprosił o rękę córki. Żona Gauleitera Breslau oświadczyła, że nie wyrazi zgody na ten związek. Powiedziała, że jej córka może zrobić co zechce, ale bez błogosławieństwa rodziców, bo oni nie pobłogosławią związku z barbarzyńcą. Następnego dnia Gestapo zaaresztowało Gauleitera Breslau. Wagner miał kilka pokazowych procesów ze sfabrykowanymi dowodami. Jednym z zarzutów przedstawionych Wagnerowi był jego rozkaz traktowania polskich więźniów "po ludzku", uznany za działalność przeciwko Rzeszy. Wojnę spędził w więzieniu. Zginął rozstrzelany w Berlinie w maju 1945 roku.

W tej historii zainteresował mnie nie tyle Gauleiter Wagner i jego żona, lecz ich córka, zakochana młoda Niemka, oczekująca dziecka, gotowa poślubić swojego ukochanego. Nie wiem czy z nim została, czy zaakceptowała jego nazistowską ideologię. Co czuła wiedząc, że pośrednio przyczyniła się do śmierci ojca? Oczywiście próbowałam się dowiedzieć, co się z nią stało, ale w pewnym momencie przestałam szukać dalszego ciągu tej historii. Postanowiłam ją sama napisać. Stwierdziłam, że ta młoda matka i jej dziecko będą postaciami w mojej powieści. Käthe i jej syn

William są konsekwencją tej decyzji, konsekwencją zauroczenia historią Wrocławia i Breslau.

JSG – Zapowiadała Pani, że fabuła kolejnej powieści również oparta będzie na polskich wątkach, z bohaterami – Polką i Francuzem. Tym razem wydarzenia mają rozgrywać się w innej scenerii, innej epoce historycznej XVIII/XIX wieku. Znów pojawi się temat spotkania kultur, weryfikacja mitów, spojrzenie na siebie i własną przynależność narodową z innego punktu, spoza umownych i fizycznych granic. Jak przebiega praca nad tą powieścią?

ES – Epoka post-napoleońska jest dla mnie równie interesującym momentem historycznym co najnowsza historia. Mapa Europy została wtedy ponownie zmieniona. Polska straciła nadzieję, że jakikolwiek Bóg Wojny pomoże jej odzyskać niepodległość. W tym kontekście, zaczęłam szkicować postacie, pochodzące z różnych kultur. Thomas Lafleur, Francuz, chirurg, który jako lekarz przeszedł całą kampanię napoleońską, aż do Moskwy. Rosalia, córka oficera Legionów i hasydzkiej dziewczyny z Humania. Obu osobom patronuje Piękna Bitynka, Zofia Glavani vel de Witt – Potocka, umierająca w Berlinie w 1822 roku na raka. Ta Greczynka, wspaniale radziła sobie w polsko-rosyjskiej rzeczywistości XVIII wieku, w erze kłamstwa i intryg. Gdy miała 17 lat, matka sprzedała ją Karolowi Boscampowi, ministrowi polskiego króla. W 1798 roku została żoną Szczęsnego

Potockiego.

To są główne postacie mojej nowej książki, a to, co między nimi się wydarzy na razie trzymam dla siebie.

JSG – Pani prozę odczytuje się na wielu płaszczyznach, w różnych kontekstach, współczesnych i historycznych. Barwnie nakreślone postacie poruszają się w świecie wyborów, w kulturowych zderzeniach. Utwory literackie są ciekawie skonstruowane, mają trzymającą w napięciu linię fabularną, zaskakującą intrygę. Przekazuje Pani czytelnikowi dużo głębokich przemyśleń z rożnych obszarów i epok, zachowując jednocześnie atrakcyjną, beletrystyczną formę. Jak przebiega u Pani proces tworzenia?

ES – Tworzenie świata fikcji zaczynam od szkicowania postaci. Np. myślę o dziecku młodej Niemki, która widzi, jak donos złożony na Gestapo przez narzeczonego prowadzi do śmierci jej ojca. Próbuję sobie wyobrazić jej dzieciństwo, jej fascynację młodym Esesmanem. Czy zgodzi się z narzeczonym, z jego ideologią, czy odwróci się od niego i znajdzie własną drogę? Czy kiedykolwiek wyzna swojemu dziecku powody śmierci dziadka? Postać musi mnie zafascynować, musi zacząć żyć w mojej wyobraźni. Muszę ją widzieć, słyszeć jak rozmawia. Dopiero wtedy mogę o niej pisać. Dla mnie pisanie jest procesem przekazywania obrazu słowami.

JSG – Czy wykreowana przez Panią postać, żyje również po napisaniu książki?

ES – Podczas tworzenia, na pewno tak. Nieustannie myślę o moich postaciach jak o osobach istniejących w realnym świecie. A to, co się potem z nimi dzieje, zależy już tylko od czytelników. Książka musi sama sobie radzić, jak dziecko, które się wypuszcza w świat. Chciałoby się dla niej jak najlepiej, ale jej los nie jest już w rękach pisarza.

JSG – Pisze Pani po angielsku. Czy Polska jest atrakcyjnym tematem dla kanadyjskiego czytelnika, który ma małą wiedzę na temat specyfiki polskiej rzeczywistości?

ES – Moja agentka, która ma polskie korzenie, twierdzi (z ubolewaniem), że Polska nie jest modnym tematem. Irlandia jest modna, Chiny czy Indie są modne, ale nie Polska. A przecież historie z pogranicza wschodu z zachodem są niezwykle fascynujące, są częścią ludzkich doświadczeń, doświadczeń uniwersalnych, ponadnarodowych. Wychodzę z założenia, że każdy temat może być fascynujący, jeśli zostanie ciekawie opowiedziany. Cieszy mnie, gdy kanadyjscy czytelnicy mówią, "Nigdy nie przypuszczałam, że Wrocław miał tak ciekawą historię." Wtedy odpowiadam, "ależ nie tylko Wrocław…"

JSG – W swoich książkach porusza Pani problemy emigracji,

trudnych wyborów, a więc nie tylko polska tematyka jest obecna w Pani literaturze, lecz są też wątki uniwersalne, które powinny znaleźć swój podatny grunt, właśnie tutaj, w Kanadzie, w multikulturalnym tyglu.

ES – W Kanadzie żyjemy wśród ludzi z różnych kultur a nasze wspólne doświadczenia są częścią kultury uniwersalnej. Jestem i zawsze będę związana z Polską. Jednocześnie, jestem i będę silnie związana z Kanadą. Chciałabym by polski głos nie był tu postrzegany jako głos egzotycznych doświadczeń, ale jako pełnoprawny głos kultury światowej.



Wywiad ukazał się w „Liście oceanicznym” , dodatku kulturalym „Gazety” z Toronto, czerwiec 2003, nr 6.

Naukowa wędrówka po hiszpańskojęzyczn ej literaturze



Od lewej: rektor Uniwersytetu Wrocławskiego prof. Marek Bojarski, prof. Florian Śmieja i prof. Beata Baczyńska.

Z prof. Florianem Śmieją, iberystą mieszkającym w Kanadzie, który 6 maja 2015 r. podczas uroczystosci otrzymania doktoratu honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego, został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Izabeli Katolickiej, przyznanym przez króla Hiszpanii Filipa VI – rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Panie Profesorze, studiował Pan

na University College w Cork w Irlandii, potem w King's College w Londynie, by w 1955 roku uzyskać tytuł magistra filologii hiszpańskiej. Skąd u Pana zainteresowanie hiszpańską literaturą?

Florian Śmieja: Z językiem hiszpańskim spotkałem się w 1947 roku w Irlandii. Znajomość łaciny zachęciła do poważniejszego zajęcia się nim i później w Londynie kontynuowałem jego studiowanie na King's College robiąc tam magisterium i doktorat. Egzotyczny język stał się kluczem do fascynującej literatury i zachęcał do prób tłumaczenia.

JS-G: Jako badacz literacki, zajmował się Pan literaturą starohiszpańską. Co Pana urzekło w literaturze tego okresu?

FŚ: Zafascynowała mnie literatura starohiszpańska, gdyż akurat wtedy udało się uczonym odcyfrować teksty arabskie i hebrajskie zawierające ślady romańskich wtrąceń. Frapowała również saga wojen arabsko-iberyjskich okresu odzyskiwania Półwyspu spod jarzma najeźdźców. Pociągała też dworskość i kurtuazja balladowych bohaterów zmagań na jątrzącej przez wieki granicy.

JS-G: Jako pierwszy wskazał Pan na zbieżność teorii konceptu Baltasara Graciána, hiszpańskiego jezuity, z poetyką Macieja Kazimierza Sarbiewskiego. Na czym polegał ten koncept?

FŚ: Pracując nad konceptyzmem barokowej literatury hiszpańskiej, przeczytałem wydaną w 1958 roku przez Stanisława Skiminę rozprawę Macieja Sarbiewskiego (1595-1640) „De acuto et arguto", o poincie i dowcipie. Zauważyłem w niej interesujące zbieżności z teoriami hiszpańskiego jezuity Baltasara Graciána (1601-1658). Ponieważ obaj byli w podobnym czasie w Rzymie, zaświtała myśl o interakcji w formułowaniu pojęcia zgodnej niezgodności (concors discordia), co natychmiast zwróciło uwagę brytyjskich hispanistów, w pierwszym rzędzie profesora Aleksandra Parkera, mojego promotora.

JS-G: Interesuje Pana literatura hiszpańska tworzona przez autorów nie tylko z Hiszpanii, ale i z całego hiszpańskojęzycznego obszaru kulturowego, z Meksyku, Kuby, Ameryki Łacińskiej. O spotkaniach z pisarzami spoza Hiszpanii pisał Pan w „Migawkach", potem w „Śladach światła". Czy można znaleźć wspólny mianownik dla współczesnej literatury hiszpańskojęzycznej na świecie?

FŚ: Wspólnym mianownikiem literatury hiszpańskojęzycznej jest oczywiście język. Spotkałem ostatnio w Zabrzu Czesława Ratkę. Zafascynowany historią chilijskich Indian, nauczył się hiszpańskiego i pilnie przekłada epopeję Alonsa Ercilli „Araucana" na piękne polskie oktawy. Podobnie rozkwit realizmu magicznego powieści latynoskiej pobudził szerokie

zainteresowanie się nią.

JS-G: Czy można znaleźć uniwersalny klucz do literatury hiszpańskiej?

FŚ: Obawiam się, że nie. Zmieszanie kultur, barokowe ekscesy, ekscentryczna wyobraźnia, pogarda śmierci, fanatyczna żywiołowość, egzystencjalny lęk, to wszystko nie daje jednoznacznej odpowiedzi na atrakcyjność ducha iberyjskości, na potrafiący zaskakiwać fenomen.

JS-G: Jest pan autorem przekładów literatury hiszpańskiej i hispanoamerykańskiej, m.in. Gustava Adolfa Bécquera, Juana Ramóna Jimenéza, Camilo José Celi, Luisa Martína-Santosa. Dlaczego wybrał Pan tych twórców, aby przybliżyć ich polskiemu czytelnikowi?

FŚ: Niektóre tylko moje przekłady ukazały się drukiem, inne czekają na łaskawsze czasy. Wiele dalszych padło po drodze, gdyż jest ona żmudna i niełaskawa. Trzeba wielkiego samozaparcia, by trwać na tym ugorze najczęściej bez żadnej rekompensaty i uznania. “Srebronia” Jimenéza poznałem jeszcze w Irlandii. Pofatygowałem się parę razy do Moguer, by poznać okolice i ludzi. Starałem się zapoznać ze wszystkimi szczegółami i z niczego nie rezygnować. W Andaluzji poznawałem krajobrazy opisywane w relacjach z rekonkisty. Przygotowywałem się do

przekładu meksykańskiej powieści o rewolucji, jadąc autobusem wzdłuż całej ruty akcji opisanej w oryginale. Sympatyzowałem z losem cristeros zmasakrowanych przez wojska rządowe i dlatego spolszczyłem czytadło "Zadumana". "Czas milczenia" zapowiadał liberalniejszą powieść hiszpańską, a że wydawca nie umiał znaleźć tłumacza, więc pomogłem.

JS-G: Czy tłumaczył Pan także literaturę polską na język hiszpański?

FŚ: Moje tłumaczenia polskich tekstów skończyły się nikłym powodzeniem. Praca nad tomem wierszy Herberta w Maladze przepadła, zdołałem wydrukować tylko pojedyncze wiersze Herberta i Szymborskiej. W Meksyku ukazał się tomik moich tłumaczeń Stanisława Leca „Myśli nieuczesanych" jako „Pensamientos desmelenados".

JS-G: Był Pan przez wiele lat wykładowcą: w School of Slavonic and East European Studies, London School of Economics, Nottingham University, Western Ontario University w Kanadzie oraz PUNO – Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie. Po przejściu na emeryturę, powiedział Pan, że chciałby spłacić dług wobec studentów polskich. Podjął Pan wówczas współpracę z Akademią Polonijną w Częstochowie, a w latach 1991–1997 prowadził Pan seminaria oraz wykłady gościnne na Uniwersytecie Wrocławskim. Przyczynił się Pan tym samym do ukształtowania

pierwszego pokolenia hispanistów po 1989 r. i rozwoju studiów hispanistycznych w Polsce. W jakim stopniu studenci w Polsce interesują się literaturą hiszpańskojęzyczną?

FŚ: Owszem, ucząc Brytyjczyków i Amerykanów a potem Kanadyjczyków języka hiszpańskiego marzyłem o wykładach dla polskich studentów. I to mi się udało po przejściu na emeryturę w 1990 roku. Spędziłem partie kilku lat we Wrocławiu, Opolu i Częstochowie, oraz liznąłem trochę Kraków, Wilno i Ostrawę. Studenci wrocławscy zapadli najgłębiej w mojej pamięci, szczególnie myślę o trzech dobrych doktoratach, w których uczestniczyłem.

JS-G: Proszę opowiedzieć o swoim spotkaniu i wieloletniej współpracy z prof. Beatą Baczyńską z Uniwersytetu Wrocławskiego, która w maju br. wręczyła Panu doctorat honoris causa UW w tej samej barokowej Auli Leopoldyńskiej, w której kiedyś Pan jej wręczył doktorat nauk humanistycznych.

FŚ: Profesor Beatę Baczyńską spotkałem w Madrycie w 1989 roku. Byłem wtedy na dwumiesięcznym stypendium ministerstwa hiszpańskiego, a ona na kursie jako świeża magister Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zgadaliśmy się o Calderonie. Mnie nękało poczucie niedosytu, bo jako uczeń profesora Parkera i jego szkoły calderonowskiej, nie wykazałem się żadnym osiągnięciem na tym polu i zainteresowanie Beaty Calderonem

obiecywało jakąś możliwość późnej kompensaty. Wtórowałem jej pracom i obficie korespondowałem z nią zanim przedstawiła drukowaną później pracę doktorską o „Księciu Niezłomnym". Publikując następnie książkę o teatrze Calderona wpisała się na listę polskich znawców hiszpańskiego dramaturga potwierdzając to współorganizacją międzynarodowego kongresu. Jej wydana w 2014 roku monumentalna „Historia literatury hiszpańskiej" ustaliła kaliber jej zaangażowania i jakość przesłania. Podejrzewam, że jej udział w przekonaniu Rady, by uczciła mnie honorowym wyróżnieniem, a wystąpienie jako promotora stworzyło bajkową wprost sytuację mojej inwestytury. Nauczyciele rzadko doczekują się równej przygody.

JS-G: Podczas tej samej uroczystości we Wrocławiu otrzymał Pan Krzyż Komandorski Orderu Izabeli Katolickiej (Orden de Isabela la Católica) przyznany przez króla Hiszpanii, Filipa VI. Krzyż ten jest najwyższym odznaczeniem w Hiszpanii. Aktu dekoracji dokonał Agustín Núnez Martínez, ambasador królestwa Hiszpanii w Polsce oraz Josep Maria de Sagarra, dyrektor Instytutu Cervantesa w Warszawie. Czym dla Pana było to zaszczytne wyróżnienie?

FŚ: Nie odgadłem dotąd istotnej przyczyny nadania mi hiszpańskiego medalu. Było to dla mnie zupełnym zaskoczeniem. Moja spontaniczna replika, że to tak jak z bombami na wojnie – padają daleko od frontu i zazwyczaj na niewinnych, wcale tak

dalece się nie myliła. Ale order Królowej Izabeli Katolickiej zawisł na mojej szyi, więc zobowiązuje do wierności dziedzictwu Króla Filipa VI, którego podpis na dyplomie przypomina, że służba moja została zapamiętana i nagrodzona, choć może zbyt szczodrze. Przystoi jednak wielkim przesada. Widzę w tym geście docenienie wydziału i jego zasłużonych pracowników.

JS-G: W Polskich wydawnictwach są dwa pana tłumaczenia z literatury hiszpańskiej. Od 11 lat w wydawnictwie „Czuły barbarzyńca" czeka przełożony przez Pana „Srebroń i ja" Juana Jimeneza. W jednym z wrocławskich wydawnictw, czeka też na druk pana przekład z Baltazara Graciana „Wyrocznia podręczna i sztuka roztropności". Jak Pan myśli, dlaczego wydawnictwa zwlekają z wydawaniem tłumaczeń literatury hiszpańskiej?

FŚ: Nie rozumiem, dlaczego nie wydają od dekady„Srebronia i ja," autora nagrodzonego Nagrodą Nobla, a przetrzymywanie tekstu jest po prostu skandalem. Wydawca obiecał solennie wydać w tym roku, ale jeśli nie skorzysta z koniunktury, to winien się wziąć za inny fach. „Wyrocznia podręczna i sztuka roztropności" jezuity Baltazara Graciana ukaże się we Wrocławiu w opracowaniu Beaty Baczyńskiej i Jose Luisa Losady. Obecnie wprowadzany jest do edycji aparat naukowy. Będzie to pierwszy polski przekład dokonany z oryginału i jego debiut spodziewany jest jeszcze w tym roku.

JS-G: Czy gdyby jeszcze raz wybierał Pan kierunek swoich zainteresowań, poszedłby Pan drogą literatury hiszpańskojęzycznej?

FŚ: Sądzę, że gdybym teraz wybierał kierunek, to znałbym lepiej studiowaną materię i język i bardziej skorzystał z wieloletniego doświadczenia. Miałbym wtedy szansę zrobić swoje propozycje lepiej i szybciej, a w konsekwencji więcej.

Nie byłem wcale Wiechem wileńskim



Tadeusz Konwicki podczas realizacji filmu „Dolina Issy” w 1981 roku Foto: PAP/Witold Rozmysłowicz.

z Tadeuszem Konwickim rozmawia Romuald Mieczkowski

Romuald Mieczkowski: *Ponieważ Pan pochodzi z Wilna, powiedzmy, wtedy były to okolice Wilna, rozmowę należy rozpocząć od tamtych stron…*

Tadeusz Konwicki: Taip. Laba diena. Man labai malonu, kad as kalbu lietuviskai.

RM: *Doskonale! Kiedy i gdzie tego się Pan nauczył?*

TK: W Wilnie, chyba w latach 1940-41, kiedy chodziłem do

Gimnazjum im. Króla Zygmunta Augusta i kiedy wprowadzono nauczanie po litewsku. A do 1938 roku uczęszczałem do szkoły powszechnej w rodzinnej Kolonii Wileńskiej. Wojna mnie zaskoczyła po pierwszej klasie gimnazjalnej. W tym gimnazjum uczyłem się podczas okupacji radzieckiej, dopiero jak przyszli Niemcy rozpoczęliśmy się naukę na tajnych kompletach.

RM: *Potem była Polska.*

TK: Wyjechałem na przełomie kwietnia i maja 1945 roku. Kiedy dotarliśmy do Białegostoku, akurat tam obchodzono Dzień Zwycięstwa. Pamiętam, jak żołnierze radzieccy strzelali na wiwat.

RM: *Jaka była stacja docelowa?*

TK: Ja się najpierw trochę włóczyłem po Polsce. Nie miałem tu żadnych odniesień – krewnych, znajomych nawet. Aż wreszcie wylądowałem na dwa lata w Krakowie, gdzie się zapisałem na Uniwersytet Jagielloński. Pracowałem w redakcji tygodnika kulturalno-literackiego „Odrodzenie". Potem jego redakcja opuściła Kraków i ja, jako nieodzowny redaktor techniczny, wjechałem od Warszawy, totalnie zrujnowanej i na początku – co dziwne – zamieszkałem w hotelu „Bristol", gdzie były same ambasady. Parę miesięcy tam urzędowałem i wreszcie Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", która wydawała

„Odrodzenie”, wybudowała na Frascati swój dom i dostałem tam pokoik, z kuchenką i dostępem do łazienki. W taki sposób, jako młody człowiek znalazłem się wśród literatów warszawskich.

RM: *I wtedy, w Warszawie, bierze początek Pana pisarstwo, i to z wątkami wileńskimi?*

TK: Ja dość wcześnie, jako próbujący pisać, zrozumiałem, że trzeba mieć rodowód: być skądś, mieć swoją ziemię ojczystą, swoje otoczenie, swoje nawyki moralno-obyczajowe. Przez całe życie trzymałem się takiego etosu wileńskiego, ale jako honorowy Wilnianin, nie nadużywając. Ja nie byłem wcale Wiechem wileńskim. Natomiast Wilno zawsze istniało w tym, co pisałem – w pejzażu, w klimacie, w duchu i w pewnych obyczajach charakterologicznych.

RM: *Co leży u ich podstaw?*

TK: Krótko mówiąc, jest to skłonność do ascezy. Bardzo wyraziste poczucie godności i honoru. Może nie zawsze mi się udawało realizować te ideały w pełni, ale przez cały czas o tym pamiętałem.

RM: *Czy po latach ta percepcja wileńskości się zmieniła?*

TK: Ja się boję do tego przyznać. Kiedy po przełomie

historycznym parę razy byłem w Wilnie, miałem dziwne uczucia. Poza dumą i satysfakcją z urody miasta, urzeczenia jego historią, nie pozostawiało mnie wrażenie, że to już nie moje miasto… Podobne uczucia – jak się dowiedziałem – mieli inni Wilnianie po odwiedzeniu swych ojczystych stron, przywiązani do nich przecież w jakimś stopniu „wirtualnie", do swej wileńszyzny pamięci, uwarunkowanej doświadczeniami dzieciństwa, młodości, wszystkim tym, co nas tam kształtowało. Dziś miasto jest zupełnie inne. I to nie tylko przypadek Wilna. Takie wrażenie mają ludzie z innych miast, które musieli opuścić i wracają do nich po latach.

RM: *Czyli Wilno jest mitem, jak w twórczości literackiej?*

TK: To sprawa bardzo skomplikowana. Jest, na przykład, w mieście francuskim Lille bardzo silny ośrodek polonistyczny. Ludzie, którzy z jakichś powodów zajęli się sprawami polskimi i dawnymi Kresami, stworzyli coś w rodzaju „wirtualnego kraju", który jak piękny obłok nad tą ziemią krąży. Na to składa się tradycja, kultura, obyczajowość, pamięć Kresów, które przecież tak wiele dały. Nie tylko Polsce, bo z tego bogactwa wiele też czerpie Litwa, Białoruś czy Ukraina. Jest to rzecz dla sztuki bardzo korzystna. I warto być świadomym obywatelem tej tajemniczej krainy, tak szczodrej dla sztuki.

RM: *Mówimy o tym w czasie przeszłym. Na tych terenach*

rozwija się współcześnie sztuka suwerennych narodów…

TK: Wielkie Księstwo Litewskie było organizmem o wielkim znaczeniu i historycznym i politycznym. Z rozbiorami straciło byt administracyjno-polityczny, ale pamięć o tym zachowała się w świadomości wielu ludzi. Litwini, którzy nie bali się rusyfikacji, zawsze się obawiali polonizacji, ponieważ następowała bez przymusu, była spontaniczna, bo atrakcyjna, ponieważ niosła nowe i postępowe prądy z Zachodu. Teraz owej polonizacji nie trzeba się bać – Litwa jako państwo się skrzepiła, dzięki też wyrazistym pierwiastkom bałtyckim, czy nawet bardziej charakterystycznym dla Skandynawii. To pracowitość, powściągliwość i jeszcze inne cechy. Jednakże w stabilizacji, jaka szybko postępuje, Litwini będą ujawniać coraz bardziej związki kulturowe na płaszczyźnie tradycji Wielkiego Księstwa, w tym związki z dawną kulturą Rzeczypospolitej. Znajdą w nich wiele rzeczy koniecznych dla funkcjonowania ich tożsamości. Lęki antypolonizacyjne będą słabnąć. Powinniśmy wzajemnie wykazywać sobie życzliwość, odpowiednio promować osiągnięcia kulturalne naszych sąsiadów, poznawać ich współczesną twórczość. Trzeba pamiętać, że Polska jednocześnie dla Litwy tworzy coś w rodzaju pomostu w przebijaniu się na świat. Klasycznym przykładem jest światowa kariera Stasysa Eidrigeviciusa, jaka rozwinęła się nie w Kownie, nie w Wilnie, tylko w Warszawie, wcześniej z Polską był mocno związany Mikołaj Ciurlionis, o czym rzadko się na Litwie mówi. Takich

przykładów teraz można znaleźć wiele, również w innych dziedzinach.

RM: *Sprzyja temu otwarcie granic i współpraca na szczeblu państwowym.*

TK: Ja temu bardzo kibicuję. Oby się ona rozwijała. Z Litwą łatwiej. To nawet nie Ukraina. Cmentarz Orląt niby jest, ale ciągle z jakimiś niepewnościami. Tymczasem spokojnie można sobie pójść na Cmentarz na Rossie, oddać hołd Marszałkowi, tym, którzy złożyli swe głowy w walce o Wilno. Litwini w czasach radzieckich nie dopuścili, aby nekropolia była zniszczona, nie pozwolili przez nią prowadzić drogi… W ramach tego co się dzieje na całym świecie, najlepiej by było, aby Wilno było miastem otwartym, z pamiątkami narodów, które w nim mieszkały bądź mieszkają. Nawet gdyby ktoś zupełnie zwariował i chciał w nim zatrzeć ślady polskie, tego nie da się zrobić. Podczas europejskich powrotów do źródeł Litwini będą dumni z dawnej wspólnoty, z pierwiastków też żydowskich, białoruskich, tatarskich czy karaimskich. Wilno ma szansę być miastem wielu kultur, które jakoś potrafiły ze sobą współżyć. To dałoby też szansę miastu stać się unikalnym miejscem w Europie do prowadzenia badań nad fenomenem styku kultur.

RM: *Po dzień dzisiejszy są też tam Polacy. W Wilnie stanowią oni niemal piątą część ogółu mieszkańców.*

TK: Jako człowiek, nie poddający się próbom syntez socjologicznych, zdaję sobie sprawę, że Polacy na Wileńszczyźnie czują się wyrolowani, zostali porzuceni i zdani na samych siebie - nie z powodu złego usposobienia społeczności w Polsce, tylko z powodu odcięcia. Wiem o tym, bo nawet z matką nie mogłem stale korespondować, były utrudnienia. Teraz – co innego. Popieram starania pana redaktora, aby przyczyniać się ze wszech miar do powstawania prężnej inteligencji polskiej na Litwie – światłej, rozumnej, świadomej swojej roli, która by nie dała się zepchnąć do roli marginesu społecznego, przeciwstawiała się takim, co uważają, że gdy jest słonina, chleb i samogon to można żyć. Całe szczęście, taka degradacja już nie jest możliwa. Obserwuję aspiracje rodaków z Wileńszczyzny. Ważne, żeby ten potencjał powiększać w warunkach tejże wielokulturowości. Dostałem list, o czym panu opowiadałem, od kierowniczki szkoły w Bujwidzach. Czuje się ona pełnoprawną obywatelką tej miejscowości, swojego społeczeństwa, które ma przed sobą przyszłość. Między innymi, jej polszczyzna jest taka, że ja bym chciał tak nią władać… Mam wrażenie, że coraz więcej jest dziś ludzi pozbawionych kompleksów. No, i moje listy, z adresem, pisanym po polsku, doszły do adresata.

RM: *Zupełnie inna sytuacja na Białorusi.*

TK: Nasi politycy nie zdają sobie sprawy, w jakich tarapatach jest to społeczeństwo. To bardzo delikatna materia, potrzebująca

wyczucia… Jak też pamięci, o pozytywnych naszych posunięciach w przeszłości – przecież dzięki inicjatywie naszych szlagonów zaczęła się białoruska literatura w drugiej połowie XIX wieku. Nasi sąsiedzi mieli też gorzej, bo ich inteligencję wytrzebiono w Związku Radzieckim prawie doszczętnie, brakuje tu fermentu intelektualno-artystycznego. Te procesy utrwalania własnej tożsamości jeszcze tam długo będą trwały. Na Litwie jest inaczej i dlatego ja liczę na szybszą poprawę tam sytuacji rodaków. Choć i tu te relacje od czasu do czasu będą wstrząsane i podawane próbom przez różne demagogie, niektórzy też – co charakterystyczne dla państw całego regionu – dla własnego interesu podgrzewać będą konflikty. I na Białorusi nastąpią zmiany – wszystko ma swój czas. Ja nawet kiedyś taką tezę wysunąłem w stosunku do Białorusi, że można mieć podwójną tożsamość. Myślę, że taki stan jest możliwy, że da się pogodzić w jednym spuściznę dwu narodów. Zresztą dziś o rodowodzie mogą mówić tylko nazwiska. Znam człowieka o nazwisku Kiszkis, pan wie, co to oznacza (zając – R.M.) po polsku. Jest masa nazwisk o rodowodzie białoruskim, ukraińskim czy litewskim. I to mnie bardzo fascynuje.

Zaznaczam z uporem: Unia Europejska, jeśli się utrzyma, nie rozwali się z powodu natłoku kolejnych państw, będzie kojąco i łagodząco wpływała na układ tych wszystkich problemów narodowościowo-plemiennych w Środkowej i Wschodniej Europie.

RM: *Wróćmy na Litwę. Powiedział Pan, że otrzymuje stamtąd listy od czytelników.*

TK: To są listy nie tylko od Polaków, ale i od Litwinów, którzy starają się do mnie pisać po polsku, jak potrafią. Widzi Pan, tam na półce stoi taka pocztóweczka. Jest to reprodukcja uratowanego cudem z pożaru kościoła w Bujwidzach obrazu św. Kazimierza. Od kogo ja to dostałem? Od pani Mareckaite, znanej teatrologa. Takich nici z Litwy jest więcej.

RM: *Nie widziałem ostatnio Pańskich książek, wydanych po litewsku.*

TK: Byłem wydany po litewsku jeden raz, jeszcze za czasów radzieckich. Wydano mi *Dziurę w niebie* i *Sennik współczesny.* Przygotowywano się do wydania *Małej Apokalipsy,* ale rzecz upadła. Z tego powodu nie mam urazu, bowiem rozumiem, że teraz Litwini mają nieskrępowany dostęp do literatury światowej i korzystają z tego.

RM: *W większości Pańskich utworów obecna jest Litwa.*

TK: Miałem zabawny przypadek w Paryżu. Podczas udziału w dyskusji telewizyjnej czy radiowej przedstawiono mnie jako „pisarza litewskiego". Skąd to wynikło? Sprawa prosta – występowałem w interesie dawnych Kresów, w interesie Wilna i

w interesie Litwy. Działając w nawiązaniu do luźnego przywołania marzenia Józefa Piłsudskiego o związku, a konkretniej o federacji narodów. Od Morza Bałtyckiego po Czarne. Dziś taka partnerska wspólnota nie straciła na swej aktualności. Należy działać w tym kierunku i pruć pod prąd, do przodu, bo szkoda czasu. W ten sposób raz na zawsze da się odeprzeć widmo rozbiorów i okupacji, dominacji obcych sił.

RM: *Mimo innych „parasoli ochronnych". Ponadto w dobie powszechnej informacji, rozwoju komunikacji medialnej nie da się utrzymywać zacofanych skansenów.*

TK: Z powodu globalizacji świat się nie tylko kurczy, ale staje się jednością. Córka moich znajomych wyszła za mąż za Portugalczyka. Ich syn ożenił się z Amerykanką. Mam znajomych, którzy na weekend latają do Nowego Jorku. Wiem, że są protesty przeciwko globalizacji, często bardzo słuszne, ale jak w każdym rozwoju – więcej tu zjawisk pozytywnych. Daj Boże, żeby na Litwie wytworzyła się zauważalna grupa inteligencji polskiej, która będzie korzystna dla samych Litwinów i dla innych.

RM: *To zadanie dla mniejszości polskiej, która jest w stanie przyczynić się do promocji osiągnięć Litwinów w Polsce i – vice versa – na przykład artystów z Polski na Litwie.*

TK: To, co Pan mówi, świadczy o najwyższym poziomie współistnienia relacji narodowościowych. Tak powinno być. Choć na co dzień jestem sceptykiem, to w tym zakresie pozostaję optymistą. Może tak się dzieje dlatego, że o tym bardzo często myślę. W stanie wojennym, kiedy były bardzo ponure czasy, ja ciągle spacerowałem pomiędzy Kolonią Wileńską a Wilnem. W myślach. Dziś to jest dzielnica miasta, a ja wspominałem tamtą drogę z jej przygodami krajobrazowymi. Jest to świat, do którego chętnie się wraca. Powiedzmy szczerze, jakieś większe krwawe zaszłości nie podzieliły naszych nacji. Litwa to nieduży kraj, wobec tego obowiązuje nas wyjątkowa życzliwość i uwaga. Niech Litwini z tego korzystają. I tak jest – brylują w Polsce ze swoimi teatrami, z plastyką, muzyką. Są wysoko cenieni i bardzo serdecznie przyjmowani.

RM: *Miejmy nadzieję, że tak będzie. Dziękując za rozmowę, chcę zaprosić Pana na przyszłoroczne Międzynarodowe Spotkania Poetyckie „Maj nad Wilią", podczas których planujemy więcej czasu poświęcić Pańskiej twórczości.*

TK: Jestem tym wzruszony. Życzę Polakom na Litwie i Litwinom sukcesów we wzajemnym ubogacaniu siebie.

Wywiad ukazał się w „Liście oceanicznym", dodatku kulturalnym

„Gazety” z Toronto w październiku 2005 r.